

Cena numeru
pojedynczego

30

groszy.

Prenumerata krajowa
kwartalnie 1'80 zł
półrocznie 3'60 zł
rocznie 6'— zł

Prenumerata zagran.
kwartalnie 40
półr. 80 centów am.

Konto P. K. O.:
Kraków Nr 406.000
Warszawa Nr 153.210

GAZETA LITERACKA

Dwutygodnik

Adres redakcji
i administracji:

Kraków
ul. Zybkiewicza
L. 5/7, m. 55.

Godziny urzędowe
codziennie od 1—3

Oddz. w Warszawie:
ul. Sienna 23, m. 5.
Telefon 46-98.

Oddział we Lwowie:
ul. Z. Chrzanowskiej
L. 10, parter.

Nr 21

Warszawa — Kraków — Lwów — 1 grudnia 1926 r.

Rok I.

Kult i kultura szczęścia

Wypadałoby, aby taki tytuł zapowiadał akrobatyczne próby określenia tego, co nazywamy szczęściem, ale na szczęście autor tych rozmyślań nie jest wieszadłem na profesorską togę. Jeśli bowiem są ludzie, którzy ani razu w życiu nie byli głodni, to nawet najbardziej sugestywne określenie głodu nie pozwoli im doznać tego uczucia.

Głód szczęścia jest bliźniaczym bratem głodu chleba. W kołysce dziecka obaj wyciągają te same piastki i krzyczą temi samymi dźwiękami. Potem rozdzwaja ich życie, by ich czasem znowu stopić w jedność w chwili, gdy głównym składnikiem śliny miękczącej suchy kawałek chleba jest uczucie bezmiernego szczęścia.

Człowiek składa się z ciała i duszy, a życie ludzkie z głodu chleba i z głodu szczęścia. Co więcej: człowiek rozdził się z podziału pragnień na głód chleba i głód szczęścia i w człowieku rodzi się zwierzę, gdy te dwa pragnienia zaczynają się przenikać i zlewać w jedną całość.

Pocóż więc w poszukiwaniu określeń zaklejać skrawkami słów najrozumialszą treść? Kto mówi: „jestem głodny“, ten dla innych jest zrozumiały bez żadnych dopowiedzeń, bo prawie niema ludzi, którzyby byli nieznane uczucie głodu. Podobnie, gdy wypowiadamy słowo „szczęście“, to rozpalamy w duszach palącą i jasną świadomość głodu szczęścia.

Jak głód chleba podniósł chleb na wyżyny ołtarza, tak głód szczęścia każe kultowi szczęścia budować świątynię. Wszyscy bez wyjątku jesteśmy czcicielami szczęścia. Co więcej, wszyscy mamy prawo i nawet obowiązek czuć się szczęśliwymi. Radość życia powinna być jednym z celów higieny społecznej, troszczącej się o pełne zdrowie społeczeństwa. Nieszczęście i cierpienie, to wbrew utartym mniemaniom, czynniki demoralizujące. Z walki z cierpieniem wychodzi zwycięsko tylko człowiek silny i tylko dla duszy silnego człowieka ma cierpienie wartość rzeźbiarskiego dłuta.

Wszyscy bez wyjątku jesteśmy czcicielami szczęścia, a nasze indywidualne pragnienie szczęścia, to jak wielość różną ręką malowanych obrazów tego samego bóstwa. Pomimo stwierdzonego w tym kulcie bałwochwalstwa, czujemy dobrze, że i tu włada jedno bóstwo, że i tu najwyższą formą kultu musi być monoteizm.

Każdy z nas nosi w sobie ten kult szczęścia. Domagamy się szczęścia od każdego dnia, który nas budzi. Gdy szary realizm odepchnie nas szorstką odmową, to z gniewem depczemy rzeczywistość i biegniemy w pogoń za szczęściem w krainę uświadomionej i [równouprawnionej z życiem iluzji, w krainę sztuki.

Czasy powojenne przyniosły ogromny wzrost kultu szczęścia. Z rowów strzeleckich runęła do miast lawina ludzi głodnych chleba i głodnych szczęścia. Te dwa pragnienia przenikały się, często zlewały w jedność, więc dały w rezultacie prymityw. Szczęście stało się jednoznaczne z zapomnieniem o wczoraj i wyplewieniem wszelkiej myśli o niepewnym jutrze. Słońce wschodziło co dnia pod hasłem: Carpe diem!

To co nazywamy doznawaniem szczęścia nie jest jednym, stałym, powtarzającym się stanem, ale ciągle rozwijającym się procesem. Głód chleba jest w zasadzie zawsze tym samym stanem psychicznym i ginie z chwilą nasycenia, głód szczęścia jest wiecznym głodem, łańcuchem ustawicznych, coraz dalej sięgających pragnień. W pogoni za szczęściem nasze pragnienia stają

się w miarę ich urzeczywistnienia minionymi przydrożnymi drzewami, które już nie ciągną oka i nóg ku sobie. Słońce wschodzi i zachodzi zawsze to samo, ale szczęście wczorajsze wieдне przez jedną noc i już nie może być słońcem dnia następnego. Każdy dzień przesuwa naprzód metę szczęścia, do której zmierza nasz nieustanny bieg. Jakość tego biegu i wartość mety rozstrzyga o tem, co nazwiemy kulturą szczęścia.

Za punkt zerowy kultury szczęścia, można przyjąć ten proces psychiczny, w którym głód szczęścia pokrywa się z głodem chleba. Punktem maksymalnym szczęścia jest chwila wyłaniania się z bałwochwalstwa monoteistycznego kultu szczęścia, kultu radości doskonałej.

W tem znaczeniu można stwierdzić, że powojennemu wzrostowi kultu szczęścia towarzyszy obniżenie się kultury szczęścia. Zaspokojenie prymitywnych potrzeb stało się po wojnie na skutek naturalnych warunków i ogólnego zmniejszenia synonimem szczęścia.

Rozwój kultury szczęścia normuje naturalna selekcja i sztuczny dobór szczęścia. Dla zawsze głodnego niedzara szczęście jest identyczne z życiem kawałka chleba, ale dla nawet zawsze głodnego twórcy, nie kończą się skarby Sezamu z chwilą nasycenia głodu.

Związek pomiędzy naszą wszelką działalnością, zakończoną ostrzem pragnień, a naszą reakcją uczuciową, można przyjąć za praktyczny wyraz procesu doznawania szczęścia lub nieszczęścia. Jeśli człowiek pomiędzy swoją działalnością, między jakimkolwiek uzewnętrznianiem siebie a swoją duchową treścią, buduje pomost ukochania, wtedy jest na dobrej drodze ku zdobywaniu poszczególnych met szczęścia. Wszelką zaś taką działalność człowieka, której towarzyszy jej ukochanie, możnaby określić w najszerszym znaczeniu jako twórczą.

Oczywiście, że ta twórczość jest tem bliższą bezspornego szczęścia, że tem większa jest tu kultura szczęścia, im mniej jest egocentryczna osobowość człowieka. Zdanie Mickiewicza: „W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele“ może tu być dobrą ilustracją.

Utarło się przekonanie, że w istocie pracy tkwi pierwiastek szczęścia. Tymczasem praca, jak każdy wysiłek mięśni w sobie i radość i cierpienie. To też od pracy do szczęścia trzeba przejść po pomoście ukochania.

Zbudowanie tego pomostu jest utopją, gdy pracę pojmujemy jako sport, jako bezcelowe i nieuporządkowane wyładowanie energii. Szczęście może przynieść tylko celowa praca, bo ona jest jedynie twórczą. To też w imieniu szczęścia ludzkości, w imieniu kultury szczęścia należy walczyć o świat twórczej celowej pracy.

W tem pojęciu należy jeszcze raz podkreślić twierdzenie, że każdy człowiek ma netylko prawo ale i obowiązek szukania szczęścia, tego szczęścia o wartości wypróbowanej przez życie, szczęścia, którego ożywcze źródła tryskają z gleby świata twórczej i celowej pracy.

Przekleństwo czy błogosławieństwo cywilizacji

Ikar i Tantal przeciw Dedalowi. — Wiedza i jej wrogowie; naturalnym wrogiem każdej wiedzy jej profesor! — Dalszy ciąg człowieczeństwa pierwotnego. — Cywilizacja przestań biegać amok! — Fizyczna degeneracja. — Królik lepiej utrzymuje swój gatunek niż tygrys. (Biologiczne korzyści paradoksalnych norm etyki chrześcijańskiej). Wiedza, industrializm i nacjonalizm. — Trust ogólno-swiatowy. — „Tylko człowiek dobry może uratować świat“

W oczach współczesnego człowieka cywilizacja człowieka uchodzi za takie dobro, tak ogólnie uznane, że najmniejsze powątpiewanie w wartość cywilizacji zalicza się do patrzienia na świat przez czarne okulary. Jeśli kto postawi pytanie, czy cywilizacja taka, jak obecnie, jest istotnie błogosławieństwem dla ludzkości, momentalnie nakleja się na nim etykietę pesymizmu. Jednak po głębszej rozprawie okazuje się, że ten pewny siebie optymizm jest bardzo zbliżony do beztróskiego tańca nad przepaścią.

Zdaniem wyznawców kultu cywilizacji każdy nowy wynalazek jest nowym dobrem. To też przyda się im małe ziarno gorczycy, jako przedsmak cierpkości przyszłych owoców cywilizacji.

Biolog angielski Haldane dał w swej książce p. t. „Dedał“ pociągający obraz przyszłego szczęścia ludzkości, stworzonego przez postęp wiedzy, zwłaszcza nauk biologicznych. Istnienie takiego raju w przyszłości zakwestionowali dwaj współcześni filozofowie F. C. S. Schiller i Bertrand Russell. Pierwszy dał swoim rozważaniom tytuł: „Tantal czy przyszłość człowieka“, drugi napisał książeczkę p. t. Ikar czyli przyszłość wiedzy“. Obaj zdeklarowali się jako przeciwnicy pewnego siebie Dedala.

Ludzie posiadali — pisze autor „Tantala“, zawsze dosyć wiedzy, aby się wzajemnie mordować. Wprawdzie i dziś nie jest wiedza w stanie uczynić człowieka szczęśliwym, ale ludzkość posiada dość wiedzy, jak na to, by unikać grozących jej niebezpieczeństw. Chodzi tylko o to, by tę wiedzę umiejętnie zastosować.

Aby to można było uczynić, trzeba zrobić mały bilans rozwoju człowieka.

Z biologicznego punktu widzenia stoi człowiek prawie na martwym punkcie. Pęd rozwojowy, który naszych przodków podniósł z poziomu małpy przez Pithecanthropusa, człowieka z Heidelbergu i Neandertalia aż do stadium współczesnego, zdaje się, że ustał w połowie paleolitycznego okresu.

W każdym razie człowiek z Cro-Magnon z okresu Aurignac, który później ukazał się na powierzchni ziemi, nie stoi niżej pod względem rozwojowym od swych następców. Współczesnego Europejczyka przewyższał wzrostem i wymiarami ciała. Była to najokazalsza rasa ludzka, jaka kiedykolwiek istniała.

Od tego czasu rozwój fizyczny człowieka zaznaczył się conajwyżej większą odpornością na choroby. Atoli ten zysk równoważy strata w postaci skracania się mięśni i palców, wypadania zębów i włosów.

Ten zastój w fizycznym rozwoju człowieka jest po pierwsze wynikiem działania sił kolektywnych. Organizacja usunęła naturalną selekcję, bo w organizacji znalazły oparcie i pomoc indywidua słabe i przeznaczone przez naturę na śmierć.

Z drugiej strony miejsce rozwoju fizycznego zajął rozwój psychiczny. Mowa i pismo stały się podwalinami skomplikowanej budowlu społecznej. Wynikałoby z tego, że zgodnie z prawami natury rozwój psychiczny człowieka po wyeliminowaniu rozwoju fizycznego będzie szedł w nieskończoność, czyli, że wiedza będzie się bezustannie rozwijać, nawet gdyby ludzkość staczała się ku przepaści fizycznej degeneracji.

Jednak tak nie jest. Stoją bowiem temu na przeszkodzie metody konserwowania i rozbudowy gmachu wiedzy.

Wiedzę i opiekę nad nią reprezentują uczeni. Atoli interesy wiedzy i profesorów są sprzeczne. W interesie każdej wiedzy leży jej zrozumiałość i dostępność jako warunek jak najszerzego wpływu; w interesie profesorów leży „fachowość“ wiedzy. Im bardziej wiedza jest „fachowa“, tem mniejsze

pole dla krytyki i tem większą wyrocznią jest dany profesor. Nic dziwnego, że taki pan otula się w toę fachowego żargonu i stara się, jak „Zwrotnica“, być niezrozumiałym. William James ujął to w krótkie zdanie: „naturalnym wrogiem każdej wiedzy jest jej profesor“.

Również i szkolnictwo, zwłaszcza wyższe, jest doskonałym automatem, hamującym postęp wiedzy.

Jak z tego widać ani natura człowieka ani jego urzędzenia nie dają żadnej gwarancji postępu. Co więcej jest smutną prawdą, że cywilizacja nie poprawiła ludzkich obyczajów ani na jotę. Człowieczeństwo pierwotne żyje nadal w skórze człowieka współczesnego. Cywilizacja nie przenika nawet tej skóry, bo głębiej nie sięga niż odzież. Jeżeli człowiek pierwotny żyje nadal w człowieku dzisiejszym, to jest on o wiele groźniejszy, bo ma do rozporządzenia wszystkie mordercze narzędzia cywilizacji. „Nie dziwne — konkluduje autor — że ludzie obdarzeni silniejszą zdolnością przewidywania doznają piekielnej trwogi, gdy widzą, jak stare, dzikie namiętności biegają amok w pełnym rynsztunku cywilizacji“.

W parze z tym smutnym obrazem idzie fizyczna degeneracja. Wyższe klasy społeczeństwa, jak arystokracja, inteligencja, ludzie sztuki i nauki wykazują w 50% bezpłodność. W ten sposób jakoś przestaje się dziedziczyć. Piramida społeczna obumiera od wierzchołka. Całkiem tak, jak mleczarz odziela na wirownicy śmietankę od coraz jałowszego mleka. To też ostatnia wojna i czasy powojenne wykazały obniżenie się procentu wielkich ludzi, skutkiem czego jest masowe czeplanie się szat każdej rozdmuchanej wielkości.

Ponadto wyższe klasy posiadają niejako „przywilej“ ograniczania urodzin, co dla mas niższych z ujemnym skutkiem dla sztucznego doboru jest zakazane czy to dlatego, by zwiększyć taniość materiału roboczego, czy też by zwiększyć porcję żeru dla armat. Do tego dołącza się i brak naturalnej selekcji, bo względy humanitarne ratują matki i dzieci, które natura przeznacza na śmierć. Skutkiem tego porody są coraz cięższe a potomstwo coraz słabsze. Sprawę poprawy w tej ostatniej dziedzinie pozostawia autor sumiennej pracy eugenetyków.

Na szaleństwo cywilizacji, dążącej do popelnienia samobójstwa, znajduje prostę lekarstwo: stosowanie zasad etyki chrześcijańskiej. Paradoksalne bowiem normy etyczne chrześcijaństwa przez zasadę biernego oporu lepiej utrzymują gatunek, niż siła i brutalność. Najdziksze rasy i najdziksze zwierzęta giną najwcześniej, a królik lepiej utrzymuje swój gatunek niż tygrys lub „Blond-bestia“ Nietzschego.

Podobne poglądy, jak Schiller, rozwija i Bertrand Russell w swoim „Ikarze“. Na przyszłość wiedzy patrzy z obawą. Wiedza, według niego — wywiera na ludzkość dwójaki wpływ. Z jednej strony nie zmieniając poglądów i namiętności człowieka, może podnieść jego zdolność do zaspokojenia swoich żądz. Z drugiej strony przez oddziaływanie na światopogląd może przynieść taką teologię czy filozofię, która znajdzie pełne praktyczne zastosowanie. Autor zajmuje się tylko pierwszą kwestją. W przeciwieństwie do Haldane'a konstatuje mały wpływ nauk biologicznych na dotychczasowe życie człowieka. W grę wchodzi jedynie Darwinizm, który stworzył naturalne podstawy dla wolnej konkurencji i nacjonalizmu. Teoria Mendla mogłaby być wprowadzić przewrót w gospodarstwie rolnem, ale na razie jest to rzecz przyszłości. Bakteriologia dopiero kiedyś może nas skutecznie będzie bronić przed mikro-bami. Podobnie z eugenetyką.

Nauki antropologiczne, które z natury rzeczy powinny najsilniej oddziaływać na życie ludzkie, są dopiero w początkach rozwoju. Do nauk antropologicznych zalicza Russell: psychologię, antropologię, historię, socjologię i ekonomię. Uważa on, że wiedza istotnie mogłaby człowieka uszczęśliwić, gdyby ludzie byli stworzeniami rozumnymi. Niestety, tak nie jest.

Największy ale i zarazem najniebezpieczniejszy dla przyszłości wpływ wywarły nauki fizyczne. Ich dziełem jest nowoczesny industrializm, który dziś jest walką konkurencyjną narodów o rynki zbytu i surowce. Liberalizm nie przewidywał takiego zwyródnienia górnolotnych haseł wolnej konkurencji. Dziś bowiem w tej walce konkurencyjnej biorą udział netylko producenci, ale i militarysty, dyplomaci, szkolnictwo (nauka patriotyzmu) i prasa. Szeregi walczących wzmacniają wydatnie i uczeni. Ci ludzie wynajdują bez przestanku coraz lepiej opracowane metody ataku i obrony. Wynik netto ich pracy po-

Nr 21 „Gazety Literackiej“

zawiera:

Kult i kultura szczęścia — artykuł wstępny. Przekleństwo czy błogosławieństwo cywilizacji — P. A.

Kobieta i miłość wczoraj, dziś i jutro — Dr W. S.

Kobieta w literaturze nowoczesnej — Juliusz Feldhorn.

Bodlera Czarna i Biała Wenus — Józef Gajkowski.

Erotyki Verhaerena — J. F.

Tak jest — wiersz — Witold Zecheater.

Adam Mickiewicz a pacyfizm — Wojciech Natanson.

Kilka uwag o języku zapomnianej książki — S. Kudliński.

Orkanowa „Warta“ — Antoni Zachemski.

Zapomnieć o niej nie wolno! — Antoni Ambrożewicz.

Nad nowym tomem Balzaka — Emil Henner.

Z teatrów warszawskich — J. Pański, krakowskich — Janusz Stępowski.

Z krakowskiej sali koncertowej — Wiesław Gorecki.

Wiersz — Marjan Sewi.

Kronika. — Muzyka. — Drobiazgi — Notatki.

WITOLD ZECHENTER

Tak jest

Otoczona tłumem głodnych mężczyzn na rozkoszy zawisnęłaś ustach — próżno chwile zaciskają pięści, czas się zżyma na rozłogach pustych.

Po warczących sercach płynie wieczność, rzesza godzin nadciąga cierpliwie, glob szaleje w otchłani słonecznej, człowiek życie błogosławi — żywe!

Potem może mówić ci historja, żeś się w męce skruszyła bezwolna, że ofiarą była twoja orgja dla ojczyzny, religji, czy wojny.

Rozwiej kłamstwo rzuczone ci w oczy! niech przekłete będą kręte słowa! nie nie wiedzą święci i prorocy! dziś bez świętych kwitnie era nowa!

Jedno tylko życie Cię opłata! w jednych tylko żyjesz zmysłowy głosach, w Piśmie Świętym, czy u Benoita, czy dla żydów, czy dla don Karlosa.

Jeśli piękna — jesteś nieśmiertelna! jeśli sobą — jesteś światem całym! śnią o tobie więźniowie w swych celach, konający szepcą twoją chwałę.

Próżno chwile odmierzają preczyste — niech dziś człowiek rozmawia z człowiekiem, życie nie jest czyste i świetliste — lecz grzech także nie jest tylko grzechem.

lega na tem, aby ten procent ludności, który można wcielić w szeregi walczących, zmniejszyć, ponieważ coraz więcej ludzi potrzeba do wyrobu amunicji. Pozornie jest to dobrodziejstwem, ale w gruncie rzeczy przez to wojna dzisiejsza jest potworniejsza, bo kieruje się głównie przeciw ludności cywilnej.

Formy nowoczesnej organizacji produkcji prowadzą do wytworzenia się klikki oligarchów kapitalizmu, co grozi poważnym niebezpieczeństwem. Pęd organizacji dziś tak wysoko ceniony niesie w sobie zaród szeregu niebezpieczeństw. On powoduje, że trusty i kartele kierują polityką świata. Jedynym ratunkiem byłoby stworzenie trustu ogólno-swiatowego, któryby może kiedyś przyjął pewne formy demokratyczne.

Organizacja bowiem na miejsce indywidualnych namiętności wprowadziła namiętności kolektywne. Rywalizacja grup społecznych czy narodów, wyolbrzymiała przez postęp wiedzy, przechodzi w ślepą nienawiść i stwarza psychozę zwycięstwa dla zwycięstwa, nastroje tak pokrewne ideałom wandalizmu. Dlatego wiedza, zwłaszcza techniczna, z dnia na dzień coraz więcej zagraża życiu kultury.

Na te i jeszcze szereg innych chorób znajduje Russell proste lekarstwo: „tylko człowiek dobry może świat uratować“.

Prosiota tego rozwiązania, analogicznego do rozwiązania podanego przez Schillera, jest zdaje się za prostą i za jasną, by ludzkość mogła ją uznać i zrozumieć. Dlatego musi się rodzić w mózgach ludzi przewidujących potworny obraz walczącej się w grzyzy cywilizacji. Uzasadniona jest obawa, że przyszłość niesie z sobą straszny dzień, ów „dies irae“, w którym z pod stosów żelazna pogrucho-tanej cywilizacji wygrzebie się oszalały z trwogi człowiek pierwotny. P. A.

Kobieta i miłość wczoraj, dziś i jutro

Dr med. Heinrich F. Wolf: »Strategie der männlichen Annäherung«. Nakładem księgarni nakładowej »Ilos« Wiedeń III, 328 stron wraz z jedną tablicą.

Autor tej niezwykle ciekawej książki podzielił kobiety ze względu na ich stosunek do mężczyzny na trzy grupy. Do pierwszej zalicza kobietę pierwotną i kobietę chorobliwie namiętną, do drugiej współczesną nam, według dotychczasowego systemu wychowaną płec piękną, a do trzeciej wysoko emancypowaną kobietę przyszłości.

Kobieta pierwotna i chorobliwie namiętna jest stroną atakującą w miłości. Autor cytuje tu z książki O'Briena p. t.: »The White Shadow of the South Sea« wypadek napadnięcia podróżnika na wyspie Marquesa przez kobietę tubylczą, która przemocą ciągnęła europejczyka do swej chaty. Podobnie zdarzają się i niezwykle namiętne cywilizowane kobiety, które w zasadzie czynią to samo.

Drugą grupę stanowią kobiety, które przywykły kryć się świadomie lub nieświadomie za okopami zasad i konwenansów wpojonych im przez życie i wychowanie.

Trzecią grupę, do której należy przyszłość świata kobiecego, stanowią te, które przywykły stać na własnych nogach, które są niezależne przez swoją pracę i które zaciekle też niezależności bronią. Taka wysoko stojąca kobieta nowoczesna nie zna żadnych seksualnych hamulców, posiada pełną świadomość swoich popędów czy instynktów, ma głębokie poczucie, że wobec nikogo prócz siebie nie jest za siebie odpowiedzialna, że jest w całej pełni panią swego losu i chce być twórcą swego życia i broni uparcie swojej wolności.

Można tu zauważyć niejako negację negacji. Kobieta pierwotna równie jak kobieta emancypowana wyklucza w mężczyzny rolę zdobywcę.

Stosunek kobiety do mężczyzny, jak i tyle ważnych spraw życiowych, jest uwarunkowany przede wszystkim warunkami ekonomicznymi. W czasie, gdy jakiś naród walczy twardo o swoją egzystencję i niema pomiędzy jego warstwami zbyt wielkich różnic majątkowych, to i stosunek mężczyzny do kobiety upraszcza się do starania się o rękę dziewczyny według przyjętych zwyczajów. Gdy natomiast w danym społeczeństwie ujawnia się wybitne różnice w posiadaniu, gdy warstwy wyższe obfitują w dostatki a lud cierpi nędzę, wtedy następuje upadek moralności seksualnej i cieplarniany rozwój strategii zdobywania kobiety. Atoli niesłuszny byłby wniosek, że upadek seksualnej moralności ma coś ogólnego do czynienia z chyleniem się do upadku jakiegokolwiek narodu.

Najlepszym przykładem są stosunki amerykańskie. Na oko wydaje się, że szczęśliwe małżeństwo jest w Ameryce wyjątkiem, gdy patrzy się na pozornie codzienne zjawisko małżeństw na próbę, rozwodów i powtórných zaślubin. Tymczasem ankieta zwrócona przez Katarzynę B. Davis do tysiąca kobiet różnych stanów z pytaniem, czy są szczęśliwe w małżeństwie, przyniosła w 70 proc. odpowiedź: »tak«.

Podobnie francuska literatura XVIII-go wieku daje obraz wypaczenia seksualnej moralności. Gdyby jednak ktoś chciał wnioskować z tego o upadku Francji, musiałby zapomnieć, że między śmiercią Ludwika XV a bitwą pod Jeną tylko 32 lat upłynęło.

Objawem upadku danego państwa jest wybitna różnica majątkowa klas społecznych, czemu zazwyczaj towarzyszy obniżenie się moralności seksualnej, ale może ono i w innych warunkach wystąpić. Przecież moralność seksualna za Dyrektora i za Napoleona niewiele niż przedtem była lepsza, a przecież ogólna moralność i poziom obyczajów podniosły się, bo poprawiły się warunki ekonomiczne.

Upadkowi Rzymu towarzyszyło wprawdzie rozluźnienie obyczajów, ale przyczyna tego upadku leżała w stosunkach ekonomicznych.

Warunki ekonomiczne zawsze wywierały wielki wpływ na strategię zbliżenia się mężczyzny do kobiety. Tam, gdzie zajęcie mężczyzny i kobiety polega na zabijaniu czasu, oczywiście zbliżenie mężczyzny jest pożądane i ułatwione. Strategia miłości staje się w takich warunkach sportem lub grą w karty.

Czas Ludwika XV są doskonałym przykładem wpływu warunków ekonomicznych na moralność seksualną.

Kobieta z arystokracji tych czasów od chwili przebudzenia się aż do chwili, gdy znuzona rozkoszami padała w ramiona snu, nie myślała o niczym innym, jak o rozkoszach następnego dnia. Materialnie niezależna nie używała bogactw do rozwinięcia swej osobowości, robiąc z nich jedynie środek do zaspokojenia swych żądz. W przeciwieństwie do tej klasy kobieta proletariatu, zrodzona w nędzy i brudzie, otoczona brutalnością i niemoralnością, godziła się na prostytucję, jako na jedyne wyjście. Pomiedzy temi dwoma ekstremami stał chłop i malomieszczaństwo francuskie. Burżuazja francuska tych czasów stanowiła ten zdrowy stan, na którym później oparła się rewolucja.

W Rzymie, w czasie jego upadku, nie było podobnej mieszczańskiej warstwy, góra i dół były przegnite, więc nie było rzymskiego imperium uratować.

Emancypacja kobiety jest charakterystycznym zjawiskiem czasów nowoczesnych.

Moralisci twierdzą, że w parze z wolnością kobiety w seksualnych stosunkach, chwyciły się podstawy społeczeństwa, że grozi niebezpieczeństwo szczęściu ludzkiej rasy. Być może, że to prawda, ale przecież nikt nie określił z powodzeniem, co to jest szczęście. Vaihinger definiuje człowieka, jako pewien rodzaj małpy opalonej manją wielkości. Tylko bowiem megaloman może wpaść w siebie przekonanie, że jego szczęście, czy nieszczęście coś znaczy w powszechności. Zresztą stanowisko kobiety w społeczeństwie nie zależy od upodobań, od woli mężczyzny, lecz od warunków ekonomicznych. »Dobre serce« mężczyzny nie dało kobiecie ani jednego prawa.

Kobietę przyszłości, kobietę-człowieka formuje praca. Tylko praca, jako społecznie wartościowa działalność wyzwala kobietę z jarzma nałożonego przez pleć, a nie wiele tu znaczy emancypacja, jako zdobycie praw politycznych i ekonomicznych.

Nie można twierdzić jednak, że praca czyni kobietę cnotliwą. Nie o to chodzi. To nie jest ani celem pracy, ani celem natury kobiety. Ale praca daje kobiecie poczucie samodzielności, poczucie osobowości i własnej wartości, oraz możliwość niezależnienia się od mężczyzny. Praca stawia przed kobietą cele, które nie mają wspólnego z jej płcią.

Tego samego nie daje finansowa niezależność. Nie budzi ona w kobiecie poczucia godności i wartości niezaprzeczalnej i robi z niej zwierzętko, które się nudzi. Niema dla takiej kobiety zbyt wielkiej ceny za energię, szarpającą nerwy. Umiera z nudów, aby uniknąć nudy.

Aż do dzisiejszych czasów w większej części

wypadków zbliżenia się mężczyzny do kobiety traktuje się całą akcję jako »zdobywanie« kobiety. Ale kończy się już okres lwów salonowych i Don Juanów. Rodzący się świat pracy zmienia zasadniczo stosunek mężczyzny do kobiety. Wszystkie typy zdobywania kobiety, które stworzyły całą strategię miłości, znikną bez śladu. Kobieta będzie wybierać tylko tego mężczyznę, który przez zdolności umysłowe, przez swój charakter i energię da jej gwarancję, że będzie odpowiednim ojcem dla upragnionego dziecka.

Będzie to wielki krok na drodze rozwoju ludzkości. Prawo macierzyńskie, które istniało przed tysiącami lat i zostało wyeliminowane przez prąd ojcowski, w niedługim może czasie wyrośnie z powrotem jako znak wyższej kultury.

Z tego nie wynika, że moralność będzie surowszą, owszem przeciwnie. Teraźniejszą moralność stworzył mężczyzna i faktem jest, że gdzie panowało surowe prawo ojcowskie, tam zawsze wynoszono cnotę kobiety jako najpiękniejszą

przymiot. Mężczyzna narzucił kobiecie prawo wyłączności jako cnotę, a kobieta dopiero następnie do prawo uważała za wieczne i sama go broniła. Ona sama to narzucone prawo cnoty ogłosiła za obowiązujące. Ale przyjdzie czas, że poczucie honoru i godności kobiety nie będzie identyczne z jej moralnością seksualną. Wtedy z pewnością będzie się stosować jednaką miarę w ocenie czci i godności osobistej kobiety i mężczyzny. To wiązanie honoru kobiety, to utożsamienie jej honoru z jej moralnością seksualną, jest zabytkiem tych samych czasów, które stworzyły pojęcie honoru identyczne z płacem poje-dynkowym.

Czy jednak z chwilą, gdy kobieta przestanie odgrywać rolę bierną, nie zniknie owa shakti, ten urok kobiecości?

Rabindranath Tagore tak o tem sądzi: »Ta shakti, ta błogie szczęście sięjąca potęga kobiety jako ukochanej, wypaczała się na skutek żądz mężczyzny w coś naksztalt zwodniczej mia-

ry, bo służy wyłącznie do zaspokojenia indywidualnej chęci użycia mężczyzny i jest podobna do skarbku zamkniętego i chciwie strzeżonego przez skapca. Swoje wyzwolenie może kobieta urzeczywistnić tylko w takim ustroju społecznym, gdzie jej prawdziwa shakti, gdzie jej ananda znajduje najdalej sięgający i najwyższy cel działania«.

Czy kobieta będzie panią przyszłości, czy będzie współzawodnikiem mężczyzny a swojej shakti, swego czaru używać będzie na to, aby mężczyzną zachęcać i podniecać w osiągnięciu coraz wyższych celów, na to da odpowiedź przyszłość.

Pewnem jest jednak, że jeśliby kobiecie odebrano jej wolność ekonomiczną, uwarunkowaną przez jej pracę, na skutek n. p. coraz większego udoskonalania produkcji, gdyby kobieta znowu stała się zależną całkowicie od mężczyzny, to zrodzi się nowa forma niewolnictwa kobiet i rozwiną się nowe typy strategii miłości.

Dr W. S.

Bodlera Czarna i Biała Wenus

(Fragment szkicu krytycznego p. t.: „Charles Baudelaire“)

I.

Z wyprawy swej — z bajkowego kraju legend Indji — przywiózł Bodler uwielbienie dla Weneri śniadej: i dla jej egzotycznej urody i dla jej egzotycznego pochodzenia. Więc upodobał ją sobie nie tylko za włosy bujne i gęste, prawie niebieskie, gdzie w aromatycznym zacisku wspominał i śnił, nie tylko za przeświadczenia i zdradliwie spokojnych oczu, za kibić smukłą i ruchy przelewem rozkołysane lenistwem, za ciało gorące i wrzątek krwi, ale za to, głównie za to, że wyszła ona ze środowiska ledwie odgadującego i że była uosobieniem i wyrazieliścią tegoż życia odmiennego, a bezwzględnie bogatego i pięknego, u progu którego wzrok się nasz zatrzymuje, nie będąc zdolnym przeniknąć ciemności tajemnic — za to, słowem, że była zwierciadłem bratniego mu Wschodu i Wschodu po-nęty kapłanką: przeciwstawieniem wszystkiego, co wyrosło na kłamanych prawdach Europy.

Rozdawczyni łask i czarów, »czarodziejce ciemnej«, swej bogini poświęcił Bodler nie jedną stronę: śpiewa o niej wierszem, prozą, układając hymny wieszczce. A zawistnie śledząc każdy jej ruch, podpatrując szczegóły stroju, pieszcząc się jej głosem i rozkoszując wzrokiem w jej piękności jej śmiałości, zeicha w bólu i roznieca myśli: upija się i zapomina. »Trzeba być ciagle pijanym. Oto wszystko — oto jedyna nasza zagadka. Aby nie czuć strasznego brzmienia Czasu, który łamie nasze bary i pochyla was ku ziemi, należy się wciąż upijać... Lecz czym? Winem, poezją, lub też cnotą — wedle gustu. Ale upijajcie się!«

Więc głównym źródłem, z którego Bodler czerpał najintensywniej natchnienie dla przenaj-drobiejszych opisów egzotycznych rajów swych i udrzwicielią jego postępowych myśli i kamienowanej wiwisekcji niepokoju duszy była mu-latka, Jeanne Duval. Ona to dawała mu za-pomnienie ołowianej teraźniejszości, przy niej wspominał i tworzył.

»O pozwól mi — długo, jaknajdłużej wdychać zapach włosów twych — zanurzę w nie całą twarz, jak człowiek, co gasi pragnienie w wodzie strumienia. Pozwól mi wicherzyć ręką tę chustę woniącą, abym wykrzesał z niej wspomnienie... Ach, gdybyś ty wiedzieć mogła, co ja słyszę, co czuję, co widzę we włosach twoich! Wonie ponoszą duszę mą, jak muzyka dusze innych ludzi...«

W tej pijanej orgii wyrafinowanego przez ból i tęsknotę szalu przychodzą uspokojenie — po tamtej stronie: po za wrotami plugawej codzienności. Więc, na podobieństwo i wzór legendarnego króla Egiptu, szukającego świętosi swej, zatopionej w mgłę wieków (czasu a, powiedzieliby Bodler), naszyty szczerem klejnotem, zasiada u tronu purpurowej łodzi i, otoczony kołem marynarzy — myślni swemi — odlatuje mającąc po świętem jeziorze swojego Karnaku, zafascynowanego glaskaniem księżycy i słońca...

Wyzwolony tedy od węzowego opłotu utra-pień, wchodzi do ogrodu wschodnich pokus i pije namiętną wyobraźnią wszystkie przynęty: od-żywa i tworzy,

Zdaleka patrzy — i widzi, i słucha:

Wielkie morza, a na nich okręty, które suną do klimatów przedziwnych, gdzie powietrze prze-sycone jest pachnieniem skóry ludzkiej, kwiatów i owoców, co mu znieczulało nozdrza nadmiarem swojej odrębności — po tej ziemi unosi się głos monotonnej derbuki i tony prymitywnego tam-tam, śpiew — nucenie, obłany zadumą łagodną i dziką namiętnością — obfitości światła i czy-sta nieskazitelnego nieba błękitnego... hej, jakże tam i a czej!...

Ale nadewszystko morze! Wizja morza żyje w nim, niby własny jego cień... bo tam widzi drogę, co pnie się w dal nieskończona, nieob-jętą, rozjaśnioną... bo mu podsuwa opowieść o wieczystym lecie, o niegasnących popołudniach na lądzie nieznanym, a więc i nowym... bo samo jest i źródłem i ujęciem najszlachetniej-szego Piękna...

Wobec malowniczych hymnów morza przysa-jają uroki, dochodzące z brzegów w poszeptach objawieńczych: — przecież cel droższym być nie może nad drogę do niego wiodącą...

II.

Z topieli włosów murzynki wylawia n a m Bodler potoki słońca, strumienie błasków, oceany wód, lasy masztów — i wieje na nas podmu-chami podwzrostnikowych wiatrów o pachnieniu plaż odległych, o zapachu upalnej spiekoty, o ci-chości i spokoju zamorskich uroczykach.

Więc na poetę szło z czarnej Weneri natchnie-nie raczej w kierunku pogańskim.

Również na sposób pogański słał Bodler swoją białą Wenus: rudą żebraczkę, panią Sabatier, słynną z urody i talentu Marię Daubrun, czy wreszcie jakąś zgola już nieznana i bezimienną. Bo chociaż człowiek patrzył na Anioła i Madonnę, poeta przecie widział ko-bietę i o kobiecie śpiewał: taką jest ta dziwna noc podświadomego procesu prawdziwej twór-czości, otulonej zwójami nieprzenikniewej kotary, że zmylił jej czujności, ani zatrząć jej istoty nie potrafił żadne otumaniania siebie i oszukiwa-nia się w życiu...

I niema jednego wiersza Bodlera, w którymby coś było ze średniowiecznej dla kobiet galanterji i kurtuazji, których odpadkami pożywał się Ro-

mantyzm — ekliwie, mdło, parodystycznie: poeta pozostaje zawsze klasikiem, t. j. nie dba o tak zwaną wartość moralną kobiety, lecz jedynie szuka w niej piękna.

»I co mi z tego, że jesteś cnotliwą?

Piękną bądź i smutną...«

(Bodler niezawodnie myślał o tym smutku, z którego można wydobyć najwięcej skupionej harmonji).

W męskim przeto rozkołysaniu zmysłów, wystrzonych w zapasach z Pięknem i Życiem, w pogoni za nimi i doskonaleniem ich w sobie, Bodler wysubtelniał arabskimi na kanwie myśli i zmysłów — a nie serca! — groźne, wielo-barwne obrazy przepaścistej tajemnicy ciała. Nigdy nie gasił jednak ducha, nawet w onczas,

gdy podjudzał oczy i zagrzewał krew. Dlatego żaden z tego cyklu jego poematów nie traci ani lubieżności, ani sentymentalizmu: świat to spo-koju, równowagi i opanowania treści. Więcej na-wet! — nieraz w tym dumnym uroku nagości, w ponętności ciała i w tym dla niego natu-ralnym, niewstydnym kulcie, — w abso-lutnym, nieokleślanym ukochaniu życia, — poeta kuje posagowaną na wzór Greków i aż do złu-dzenia przypomina ich marmur.

»Nienawidzę ruchu, co wypacza linie, Nie śmieję się nigdy i nigdy nie płaczę...«

»Jestem piękna, o śmierteln! niby sen z kamienia...«

Józef Gajkowski.

Nad nowym tomem Balzaka

Kochany!

Żalisz się zamorski krecie, z poza haszców swego buen retiro, że w roku 1926 nie do-szła cię ani jedna polska książka z zakresu belletrji, któryby Ci zdołała chwycić za mocno siwającą już czub. Tak ci się naraz zebrało na godzinki kontemplacji po burz-liwym życiu, Ty butny konkwistadorze złota, Ty łowco szczęścia we wszystkich Paktolach awantury?

Żądasz tedy odemnie, bym Ci wytyczył dobry repertuar rodzimej, współczesnej lite-ratury. »Porywajcie!«

Szukam... Myślę...

Wiesz co: wychodzi tu »Komedja ludzka« Balzaka; przekład wprawdzie »tylko«, ale tak niezwykle, że czyta się go jak wspaniały polski oryginał.

Balzak... Pamiętasz, opowiadałem Ci o nim w kraju, przed laty... Potrafiłem Cię nawet wtedy zainteresować — Ciebie! wroga lite-ratury! co za sukces! — pewnemi bio-graficznymi szczegółami. No, Balzak! Ten w do-minikańskim habicie... ów wyrwidyb kato-rznej, nadludzkiej pracy krasopisarskiej... gła-diator, biorący się nieustannie za bary z nieu-błaganiem, wszechpotężnym Pieniędзем, tra-towany przez tabuny wierzącyli na to, aby zrywać się do dalszych circenses i spadać jakąś miążdzącą Niagarą nieprzebranej ener-gji w bezedna troski powszedniego dnia, cały w blaskach nieokreślonej, płowej atmosfery, jaką rozsiewa wokół złoty metal...

Refleksy owej atmosfery bije z kart książki, którą Ci równocześnie przesyłam. W tem świetle, od którego ogorzałeś w życiu, jawi się zrenicom duszy niesamowicie obłeśna cchyra ludzka. Przypatrz się jej tej »miesięcznej« pracy. »Podobna do srebra, z którego zeszło złocone...« Małe oczka — żółte jak u dusz — bez rzęs, lękając się świa-tła, ale daszek kaszkietu chroni je od bła-sku... szpiczasty nos, tak cienki na końcu, że można go porównać do świdra... wargi wąskie jak u owych alchemików i starców, malowanych przez Rembrandta lub Metzua... Późnaje już, znawco? To fizyczny kon-terfekt Lichwiarza. To sama — Lichwa, »czło-wiek-weksel«: Gobseck. Straszliwy ten polip csał się w mrokach balzakowskiego Paryża, aby opłatać swemi mackami całe zbiorowiska ludzkie. Co za »table d'hôte!« Tutaj »najpłomienniejszy kochanek, który gdzieindziej obraża się o łada słówko i do-bywa szpady z pochwę, prosi ze złożonemi rękami! Tutaj najdumniejszy kupiec, tu ko-bieta najbardziej harda swą pięknością, naj-bardziej junacki żołnierz, wszyscy proszą że lżą bólu lub wściekłości w oku...« Opit się właśnie potwór krwią. Filozofuje! Słuchaj, jak się pyszni: »Nie odmawia się niczego temu, kto może zawiązać i rozwiązać worek. Jestem dość bogaty, aby kupić sumienie tych, co kręcą ministrami, zaczawszy od ich woźnych, aż do kochanek; czyż to nie jest władza? Mogę mieć najpiękniejsze kobiety i ich najkilkusze pieszczoły; czyż to nie jest Rozkosz?... Wszystkie namiętności, spotę-gowane grą waszych społecznych interesów, defilują przedemną żyjącym w spokoju. Złoto jest duchem waszego obecnego społeczeń-stwa...«

Taki jest oto toast Gobsecka, absolutnego korsarza na rozszalałym paryskim oceanie, jednego z owych demonów złota, którzy, nie sprostawszy bicepsom Balzaka za życia

w zapasach wręcz, będą się jeszcze okrutnie mściłi w długie lata po jego zgonie. W dniu pozostaje zawsze klasikiem, t. j. nie dba o tak zwaną wartość moralną kobiety, lecz jedynie szuka w niej piękna.

»I co mi z tego, że jesteś cnotliwą?

Piękną bądź i smutną...«

(Bodler niezawodnie myślał o tym smutku, z którego można wydobyć najwięcej skupionej harmonji).

W męskim przeto rozkołysaniu zmysłów, wystrzonych w zapasach z Pięknem i Życiem, w pogoni za nimi i doskonaleniem ich w sobie, Bodler wysubtelniał arabskimi na kanwie myśli i zmysłów — a nie serca! — groźne, wielo-barwne obrazy przepaścistej tajemnicy ciała. Nigdy nie gasił jednak ducha, nawet w onczas,

gdy podjudzał oczy i zagrzewał krew. Dlatego żaden z tego cyklu jego poematów nie traci ani lubieżności, ani sentymentalizmu: świat to spo-koju, równowagi i opanowania treści. Więcej na-wet! — nieraz w tym dumnym uroku nagości, w ponętności ciała i w tym dla niego natu-ralnym, niewstydnym kulcie, — w abso-lutnym, nieokleślanym ukochaniu życia, — poeta kuje posagowaną na wzór Greków i aż do złu-dzenia przypomina ich marmur.

»Nienawidzę ruchu, co wypacza linie, Nie śmieję się nigdy i nigdy nie płaczę...«

»Jestem piękna, o śmierteln! niby sen z kamienia...«

Józef Gajkowski.

Erotyki Verhaeren'a

Emil Verhaeren: »Jasne godziny«. Prze-kład Marij Grossek-Koryckiej. Polska Agencja Wydawnicza, Warszawa.

»Jasne godziny« są w twórczości Verhaeren'a epizodem, bynajmniej nie najwyższym, ale naj-bardziej może wykończonym i w sobie zamknię-tym. Bo też wyczerpał w nich autor całą gamę erotycznych wrzusek, od namiętności począwszy a skończywszy na wlotach mistycznych uniesień, dla których sam przedmiot umiłowania stał się już tylko pretekstem, pierwszym bodźcem, zni-kającym pod wspaniałym wzrostem fantastycznej nadbudowy. W takich chwilach demaskuje się poeta jako niepoprawny symbolista, dopatrujący się we wszystkim, nawet w własnym uczuciu i w postaci umiłowanej, jakiejś dalekiej hiperboli prawd wiecznych, rozumem ogarnąć się nieda-jących, bo niepoznawalnych. Miłość pełna myślni-kość, niedopowiedzeń, miłość pozamysłowa, mi-styczna, rozplywa się w przestworzach nieskoń-czoności, rozrasta, jak bujne gałęzie, oparte na zbyt wąłym pniu, zamienia w tragedję.

To też »Jasne godziny« nie są bynajmniej go-dzinami szczęścia. Unosi się nad nimi odwieczny cień przemijania, damoklesowy miecz czasu, który kiedyś, prędzej czy później, przeciąć musi wszystko, co człowiek zbudował na przesłankach egocen-trycznych, »tylko własnych«.

Bo też opowiada nam Verhaeren w tym zbiorze poematów, tylko o sobie, o reakcjach swej duszy, subtelnych odcieniach uczuć, wywołanych naj-drobiejszemi powiewami wrażeń. Ten najekspan-zywniejszy może i najgłębiej w rytm współcze-sności wsłuchany poeta swego pokolenia, autor »Wsi obłąkanych« i »Miastr-pijawek«, zacieśnia się tu do granic małego ogródka i schyla po róże, aby zdzierając z nich płatek po płatek, dokonywać wnikliwej obserwacji — ale i niszczyć zarazem.

Psychologia ustaliła fakt, że uczucie w ramy samobserwacji ująć można dopiero po jego śmierci. Miłość żywa o miłości milczy. Gdy mi-lczeńce przestaje, jest to jej śpiew łabędzi. Pisanie erotyków nie jest tedy świadectwem, ale nagrob-kiem miłości. Oto drugi tragizm więcej z wszyst-kich kart tej bądź co bądź smutnej książki.

Niemniej »Jasne godziny« przepojone są nie-zwykle subtelnyim liryzmem. Niedostrzegalne nie-

ledwie a już zupełnie niemożliwe do przełożenia efekty formalne, zmiany rytmiczne wolnego wiersza, dostosowane ściśle do treści, stanowią przeszkodę, z któremi trudno dać sobie radę.

I tu zaczyna się tragedia tłumacza. Chcąc oddać istotnie walory wrzusenowe utworu, oddała się zbytnio do treści, chcąc przełożyć dosłownie, czuje, że pod palcami jego kryształ poezji to-pnieje w wodę prozy. Obie te sprzeczności po-godzić mógłby tylko wybitny talent samodziel-nego twórcy w jakiejś szczęśliwie dobranej chwili, w którejby mógł przeżywać cudze wcielił w siebie, odczuć je i oddać jak, jak własne. Niestety, o te warunki trudno, a trudno szczególnie w zakresie utworów erotycznych, gdzie anarchiczny indy-widualizm znajduje swój ostatni i najpewniejszy przytyłek.

Dziwiłem się też zawsze odwadze tych, którzy porywali się na przekłady poezji symbolistycznych, wymuskanych aż do zgłoski każdej i każdego dźwięku (wszakże i Staff przełożył nie mógł inaczej verlain'e'owskiego »violon«, jak tylko zmieniając je na polskie »skrzypce«); natomiast za niemożliwy wręcz uważam trafny przekład całego cyklu takich utworów, ponieważ dokonąć się nieda w ramach chwilowego wrzusenja arty-stycznego, stanowiącego właściwy podkład do-brego tłumaczenia utworów poetyckich.

J. F.

MARJAN SEWI

Twórczość

Ustawiać będę wspomnienia, mdlawe i uroczne, Ulepione z gliny miękkiej czułości, Na półkach szarych godzin — aż skrzydła [roztoczy]

Nademną nieodparty zmierzch obojętności.

Wtedy, o, wtedy, chyba mi się powiedzie: Najśmielsze w wierszach mych rozsiejże me- [tafory]

I nikt się nie domysli, nikt nie będzie wiedzieć, Że te wiersze są bardziej, niż ongiś serce, [chorę...]

Kobieta w literaturze nowoczesnej

Miłość jest tematem literackim, jak sama literatura starym, a przeciw zawsze nowym. Nie sądźmy jednak z pozorów! Inaczej po-brzmiewał erotyzm w lutni klasyków greckich, inaczej u Catulla, Petrarci, Rousseau'a i romantyków. W pierwotną prostotę odczu-cia i wyrazu mieszać się zaczęły coraz wy-bitniej pierwiastki intelektualistyczne, to wznosząc miłość i jej przedmiot do wyżyn religijnego uwielbienia, to znów zniżając ją w bagno perwersji.

Punktem szczytowym tego rozwoju był schyłek wieku XIX. Społeczeństwo mieszczańskie, chore na przeroszt materializmu, rozmiłowane w snobistycznych błyskotkach „bebechowych” wzruszeń, uczyniło z erotyki pontura i zbę-tortur, w której wykrecano ręce i nogi naturalnemu popędowi i jego prostym, niedwu-znacznym wyrazom.

Kobieta była faktycznie, jak kiedyś, przed wiekami, niewolnicą ojca, męża, ich majątku

i stanowiska. Była meblem więcej lub mniej pięknym i użytecznym, ale zawsze luksusowym, zawsze przedmiotem stałej, czy chwi-łowej zabawy.

Nie znano jej, nie starano się poznać — ale nagradzono za to hojnie. W literaturze nagradzano uwielbieniem i poniżeniem bez granic, robieniem z niej szatana i anioła na-przemian i równocześnie. Naturalnie, najłatwiej było usprawiedliwić swoją niechęć lub niemoc wniknięcia w psychikę płci t. zw. pięknej (według niektórych — tylko pięknej) tajemniczym stwierdzeniem: *Kobieta jest sfinksem*. Jeszcze krok tylko, a kobieta stała się czarnym potworem, erotyka strasli-wą zmorą, okrywającą gęstą mgłą zdepra-wowane mózgi Beaudelaire'a, Barbey'a d'Au-revilly, Ewersa i Przybyszewskiego. Albo z kolei „niebiańska kochanka” przybierała na się anielskie szaty Psychy i Ijoli i szła okadzona hymnami pochwalnymi przez setki

placziwych romansów i welinowe tomiki ero-tyków.

Niestety, nikt nie zdobył się na balza-kowski, wspaniały gest nazwania kobiety — człowiekiem. Nawet tak wyrozumiały zresztą dla różnych „grzeszków” i z powodu tychże grzeszków antyferministycznie nastro-jony Oskar Wilde, nawet tak bystry i zło-śliwy krytyk mentalności mieszczańskiej, jak Anatol France.

Podłoże chyba dość jasne i zrozumiałe. Samolubna nawet w największym pozornie oddaniu psychika męska sprawdzała u wszyst-kich swych literackich reprezentantów starą maksymę Chamforta: „Pozbawcie miłość mi-łości własnej, a zostanie z niej bardzo nie-wiele”. Z pośród rodzajów miłości wyróżnio-nych niegdyś przez Stendhala, najbardziej „męską” zdawała się ta, którą nazwał „amour de vanité”, miłością z próżności, a któ-rej definicja brzmi: „Pożądanie kobiety,

podobne do chęci posiadania ładnego ko-nia”.

Najpełniejszym wyrazem tej bezbrzeżnie naiwnej i śmiesznej nawet w swej zbrodni-chości zasady stał się Weininger: „Kobieta sfinksem! Gorszego absurdu nie wypowie-dziano nigdy... Kobieta skąpa uczuć i na-strojów jest tak niesłychanie uboga(!) Pod-czas gdy niejedno męskie oblicze jest za-gadką długą i trudną... Kobieta jest tylko o seksualna, męczyzna jest też seksualny”.

Wartoby urządzić ankietę na temat: Ilu młodych ludzi i starszych, a kwestji kobiet jeszcze nie obojętnych panów z intelligen-tych sfer burżuazji nie przyklasnęło wywo-dom Weininger'a? Niewiele ich było, to pewna. Łechce przecie tak mile t. zw. „męską du-mę”! A może i ma rację — rację odnośnie do tych sfer, z których prozelici jego prze-ważnie się rekrutują. Czemże innym mogła się stać kobieta ogarnięta prawem własnoś-

prywatnej, „wydawana” (słowo, za które po-winno się bić po twarzy) za mąż z dokładką posagu, której wartość rynkową podnosi młodość, uroda, temperament i (rzadkość! uwaga!) ten czy ów wierszyk autora dobrej marki, napisany w platonizmem, lub mniej platonizmem uwielbieniu i opublikowany z cy-nicznym „sans-gêne”.

Z tego punktu widzenia kobieta, która chciała czy musiała pracować, była godną litości. O, na tę litość było literaturę stać!

W miarę porostania w pierze, Tartuffe zrzuca maskę. Senzacyjka zwyciężyła tży. Naturalizm Oktawiuszów Mirbeau demaskuje się, jako pornografia. Ten poniżający już nie-tylko kobiecie, ale i męczyznę rodzaj lite-racki (najczęściej importowany z Paryża) po-kutuje do dnia dzisiejszego na deskach te-atrów, w sztukach bezzdenie płytkich, o akcji, której punktem centralnym są tajemnice mał-żeńskie i pozamażeńskiego łoża, w ro-mansach w stylu pana Dekobra („Madone de sleepings” przełożona ostatnio na język polski pod dyskretnym tytułem „Dama w sleepingu”) i t. d. i t. d. Bilans tych owo-ców „męskiego romansu i władztwa nad światem” w literaturze francuskiej, pozna, kto ciekaw, jeśli przerzuci odpowiedni rozdział dzieła Anquetil'a p. t.: „Satan conduit le bal” (Paryż, 1925).

Jakże wspaniale wygląda na tem tle świę-toszkowate oburzenie prasy na inscenizację „Dzień w grzechu”! Jak chętnie i radośnie ci satyrowie i oblesnicy literatury przyoble-kają maskę moralizatorów i biją w wielki bęben oburzenia tam, gdzie chodzi o to, aby raz wreszcie zajrzeć życiu w oczy i coś w niem zmienić!

Bądźmy jednak sprawiedliwi! Wszakże już w zesłym wieku istniał ktoś, kto na swe barki wziął krytykę umysłowych założeń na-szych „podpór społeczeństwa”. Droga lsbena od Solvegi do Nory jest symbolem całego zmienionego światopoglądu człowieka, który się zbuntował przeciw uznanemu dotąd sta-nowisku kobiety w społeczeństwie. Z jednej strony kobieta — anioł, romantyczny ideał uczucia, gotów czekać dziesiątki lat na po-wrót łajdackiego kochanka — z drugiej ko-bieta, która porzuca dom męża, ponieważ ten nie chciał w niej udziału człowieka.

I tu — moment znamienny, jedyny w swo-im rodzaju! Żaden teatr nie chciał wystawić „Nory” z zakończeniem tem, jakie drama-towi nadał autor. Więc autor się ugął. Nora zostaje — bo zapłakało dziecko, bo Nora jest nie tylko żoną, ale i matką — więc cho-ciaż przeciw jednemu rodzajowi niewoli się buntuje, przed drugim kornie uchyla karku. Zachował więc dramat dwa zakończenia. Nora zostanie! — brzmiało hasło obrońców starego porządku. Nora odejdzie! — wołało parę zhisteryzowanych niewiast demon-strujących na ulicach Londynu i odmawiających przyjęcia jadała z rąk zakłopotanych dozorc-ów więzień.

Rozwiązanie problemu wzięła na siebie historia. Mądrość i sprawiedliwość władców świata stworzyła — wojnę światową. A kiedy milion męczyzn poszło na lat cztery do ro-wów strzeleckich i przedzierzgnęło się z diwną łatwością w mordujące się wzajem bydłeta, pozostały kobiety; na ich barkach spoczęła troska o chleb dla potomstwa i wszystkie nieledwie te dziedziny twórczej, kulturalnej pracy, z której zmonopolizowania tak dumni byli męczyźni. — Przedewszystkiem ciężar i odpowiedzialność wszechludzkiego sumienia.

Zrozumiał to dobrze Romain Rolland, kiedy z epicznych wyżyn „Jana Krzysztofa” zstą-pił do „Apelu do kobiet” żon i matek, pierwsze zapowiedzi trylogii „Duszy zaczy-rowanej”. Przeczul i do poziomu sensacji obniżył talent druzgordzyny, Paul Margüe-ritte.

Pewnem więc jest, że rola kobiety w spo-łeczeństwie i rola kobiety w literaturze (co za tem idzie) uległa zasadniczej zmianie. Niemniej pewnem jest, że zmiana pojęć społecznych odbywa się nie po to, aby ja-kiś Erenburg nadal dawał upust swym sam-czym instyktom (o innych cechach tej prze-lansowanej „wielkości” nie czas i miejsce tu mówić) w powieściach — powiedzmy słowa-mi Szekspira — „cuchnących pod niebo zgnilizną”. Ani po to nawet, aby p. Ossen-dowskiemu dać temat do bezsensownych po-wieści fantastycznych („Zbuntowane i zwy-cięzone”).

W naszej literaturze współczesnej (Ossen-dowskiego do niej ze względu na horendalny styl nie zaliczam) znać już wyraźny postęp w tym kierunku. — Zapewne nie będziemy tu maruderami, ciągnącymi w parędziesiąt lat wstecz szlakiem innych zdobywców. — Coraz więcej kobiet piszących, co więcej, piszących z talentem. Czas nadchodzi także na przemianę stosunku literatury do kobiet jako jej przedmiotu.

Odrzućmy wreszcie szablon jałowego uwiel-bienia i o nudności przyprowadzający uśmiech sceptyczny emerytowanych donżuanów. Tra-dycyjny erotyk, podlany mdłym sosem ro-mantycznym, dwuznaczna komedycja, roman-ski sprawdzający poraż setny maksymę, że „w tem cały ambaras, aby dwoje chciało naraz”, działa na nas uspiałą, choćby autorowie w stylu Staški i Mniskówny wszelkimi sposobami przemycić usiłowali jeszcze i „tę trzecią” lub „tego trzeciego”.

Szanująca się kobieta straciła wyłączną ambicję stania się k o c h a n k ą męczyzny w legalnej, czy nielegalnej formie; chce być jego t o w a r z y s z e m, na prawach równego z równym. Zadaniem naszym jest drogę tę ułatwić, aby wreszcie miłość i jej wyraz prze-stał być „wymianą dwu fantazji i zetknię-ciem się dwu naskórków”.

Juljusz Feldhorn.

Kilka uwag o języku zapomnianej książki

Wiadomą jest rzeczą, że obrazowanie potyckie nie może być sztucznie doczepioną ozdobą wiersza, lecz najkonkretniej wynikającą formą plastyczną. Ten dział stylu jest chyba najtwardszym problemem talentu i niechybnie pokazuje nam prawdziwe złoto poezji. W każdym razie doskonałe informuje nas o osobowości poety. Obrazy potyckie powstają w mrocznym mule podświadomości, który rozgrzany podniesioną tempera-turą tworzenia paruje sam ze siebie i wytwarza swoiste i właściwe formy. Tam, gdzie popłatane ze sobą drzemia wizje przeżyć, majaki przeczuć, wierzenia, okrucy nabytych wiadomości — do-konuje się spreparowanie tego dziwnego humusu, z którego wykwitają potem przedziwne, egzoty-czne kwiaty duszy potyckiej. Proceder ten odwrócony w kierunku wstecznym (a więc od urodzonej przenośni czy porównania), wiecie nas w prostej linii do wnętrza twórcy i pozwala nam

znakomicie odtworzyć sobie podstawę obrazu. Eksperyment ten powtarzany wielokrotnie stwa-rza zupełnie wyraźny obraz zamilowań, dążeń, upodobań poety i całego tego świata, który on łykał i wchłaniał w siebie, aby stworzyć głębię urodzającą dla swoich słów.

Myśli te nasunęły mi się przy czytaniu „Wity” Micinińskiego. Choć to utwór pisany prozą, jednak język jego jest nawskróś potyckiej i niejed-nemu poecie nadaremno szukałby w swym skarbcu podobnych słów-klejonotów. O tej interesującej książ-ce mało słyhać u nas. Chciałem tylko parę uwag wyrazić o tym stylu i zanotować kilka znakomi-tych obrazów. Weźmy n. p. taką personifikację metaforyczną:

„Natura miewa czasem pendzel Goyi i wy-obraźnię chińskiego diabła”.

(Opis burzy, str. 52.)

lub porównania:

1) „Odszedł ogromny, jak posąg Trajana” (str. 94).

2) „(Tatry) ...wystymione w swej cyklopejskiej architekturze nad indyjskimi makatami jesienich lasów” (str. 131).

3) „...niebo turkusowe, jak wschodnia pieśń Firdussiego...” (str. 171).

Wniosek: Wytworna kultura artystyczna i jej niespodziewane transpozycje. Pyszne odczucie dzieł sztuki i ich ośniewające odbicie w obra-zach tworzonych. W związku z tem spotykamy przeczułenie kolorystyczne i przewrażliwione, ma-larskie odczucie barwy w guście Van Gogha:

„Pod ścianami białej chaty krzyczą ogniem świętym nasturcie, niby skarb dukatów w noc św. Jana” (str. 91).

„...fioletowe koniczyń — błękitny len — ko-nopie modre i żółte — czarnoziem...” „...strze-chami, gęsty koczach brązowej siły z zielono-szmaragdową emalją mchu...” i t. d. (str. 90).

Orgia barw. Czasowniki znakomicie podkre-

ślają intensywność koloru. Obrazy są jaskrawe, jednak niepozabawione harmonii.

Dalszą konsekwencją jest nieporównana pla-styka Księżyca:

„Księżyc srebrny glob unosił się w seledy-nowych głębinach” (str. 142).

„...szablę wyłamać z rąk...” (str. 143).

„Zaczął mruszyć gęstym basem, jak wielki trzmiel, kiedy wdruża się w kwiata i rozrywa go, aby wypić krople nektaru...” (str. 29).

Ostatni obraz jest wprost nieporównany (Ge-ty — wdruża się — bas — brutalność).

Zaraz po przeczytaniu porównania, zjawia się obraz przed oczami. Esencjonalność słów jest wprost doskonała. Zda się, że mają smak.

Za przykład ekspresyjnej zwięzłości niech służy następujący obraz:

„Księżyc — biały mag” (str. 29).

W dwóch słowach zamknięta, oślepiająca bla-dność księżyc, zimna obojętność, tajemniczość i wszystkie misterja związane z nocą. Idźmy dalej. Opis burzy na stronie 52—53 lub to por.:

„...tan pszenicy ...wyglądał jak morze rozfa-lowane. Wzgórza zniżyły się w rozpadnię jaru, pełnego kwitnących białych czeremch, niby piany w wirze morskim” (str. 90).

to znakomite przykłady na wykończenie obrazu. Poprzedz szereg słów czy zdań ciągnie się tosa-mo porównanie względnie secundum comparationis. Wniosek: dyscyplina myśli i skłonność do kla-sycyzmu. Przytem staje się oczywiście, że autor operuje rzeczywistymi obrazem powstałym w wy-obrazni, skoro mimo, że zmienia obiekt opisy-wany — wywołany raz obraz trwa.

Zwroty takie, jak:

„Gwiezdny kołowrót sfer” — „księżyc srebrny glob unosił się w seledynowych głębinach” — „wspaniale fioletowe-krwiste liście begonji, jak łachmany królowej Bony” — „Odszedł ogromny, jak posąg Trajana, zadowolony ze siebie, jak mors — królujący na bezładnej skale wśród pingwinów” —

wskazują na szeroką skalę wiedzy nabytej, przy-czem I-y i II-gi łączą odczucie wszechświata z pięknym obrazem potyckim, III-ci jest niespodzia-nym skokiem historycznym, a ostatni groteskową wycieczką w dziedzinę historii naturalnej.

Objektywizm naukowy łączy się z poezją. Tak, jakby n. p. astrolog swoje spostrzeżenia malował delikatnie pastelami.

Znajdziemy dalej odczucie tajemnicy stworze-nia i bytu, poczucie jakiejś innej rzeczywistości poza poznawalną, mistycyzm z odczuciem grozy, a czasem dionizyjskiej pogody.

Takie n. p. bajeczne obrazy:

(Tatry) „...Miasto demonów o zmierzchu, straszliwa Apokalipsa w burzy, mit o słonecz-nym królu węzów za południa, góry te stają się o wschodzie słodka istnym rajem z ametysto-wymi wieżycami nad mokrą genezyjską głębią mgieł” (str. 131).

Lub str. 52—53:

„Widowisko burzy staje się infernalnie pię-kne: wśród zwłok mroków, jedna pieczura cią-gnęła ognia! Tam afrykańskie tańce błyskawic, tam azkie sabaty wieźdm, hurys i bajader”.

Albo weźmy to tajemnicze porównanie (str. 82): „...oczki, jak niebo lipcowe — mąre — nieco zamglone — fauniczne”.

Wszędzie tu wyciera przeczuć nadnaturalno-ści zjawisk i poczucie drugiej rzeczywistości De-mony, nimfy, króle węzowi zaludniają naturę, wte-dy, gdy jest niezmierzalnie piękna lub demoni-cznie straszna. Przebiega wszędzie miłosne wprost odczucie natury, tak przeważnie podpatrzone i tak diwinnie skryzalizowane.

Realizując mamy w autorze „Wity” indy-widualność nawskróś poetycką z wszelkimi prze-ciwieństwami, nadwrażliwą (kolor, ruch, kom-pozycja, harmonia) nawskróś oryginalną w pomysłach, zadumana nad kosmosem, znakomicie łatwo eks-ploatującą w twórczości wszystko, co nabyte. A tego nabytego jest bardzo wiele i to w naj-rozmaitszych dziedzinach. Uderza ciekawe zapla-tanie się motywu mistycznego z pozytywnie real-nym. Połączenie bajki i cudowności z wiedzą. Mistrza zdradza niejednokrotnie ustawienie je-dnego słowa, które powoduje ostre zarysowanie obrazu, jak na matówce aparatu fotograficznego. Konstrukcja jest jasna i przejrzysta, umysł za-prawiony do jasných i wyraźnych krystalizacji. Czasem spotykamy niespodzianki i przeskoki, niejednokrotnie gwałtowne, jednak nigdy nie psują stylu. Najwyżej nadają mu piękno lekkiego humoru. Dynamika obrazów jest nieporównana.

Tyle o języku tej pięknej książki. Są to tylko dorywcze uwagi i notatki. Sądzę, że przydałoby się walcie naszej młodej literaturze wnikanie i rozważanie tych waleorów twórczości.

O „Akropolisie” w następnym numerze.

Janusz Stępowski.

S. Kudliński.

Z teatrów krakowskich

Z TEATRU IM. JULJUSZA SŁOWACKIEGO
„Dyktator”, 4 akty, napisał Jules Romans. — Przekład Fr. Mirandoli — reżyserja Z. Nowa-kowski.

Z naostrzonymi uszami przyjęto premjere „Dyktatora”. I to przyznać trzeba, że dobrze orientujący się w sytuacjach sekretarjat teatru im. Słowackiego skorzystał umiennieć z okazji i w szczerzejszych niż zazwyczaj komunikatach usiłował przypomnieć o istnieniu teatru tubylcom ospalym i gnuśnym, zgrzybiałym jak sam ich Kraków. W „Grandzie”, przy stole dziennikar-skim prowadzono nocne rodaków rozmowy o sprowadzeniu do naszej zapiastowanej miściny ja-kowejś atrakcyjnej sensacji o mocnym zapachu polityki, i kolorze czerwonych konfitur, importo-wanej wprost z prawdziwego Paryża bez jakich-kolwiek uprzednich przystanków w miastach Europy. I wogóle ludziom, schorowanym zamoło na politykę, zrobiło się naraz tak niewymownie

socialistycznie lub dyktatorsko, jakby zjedli co-najmniej kilo dodatków nadzwyczajnych prosto z pod rewolucyjnej prasy. „Uważaj pan do-brze!” — mówili na ucho redaktorzy naczelni do recenzentów — „czy ten dyktator” to aby nie Mac Donald, Vandervelde, Branting, Stau-ning, Briand, Mussolini i czy to może są aluzje do Piłsudskiego!... Przypatrz się pan dobrze twarzy Jednostki, który gra jakiegoś króla z kulturalną brodką i zabierze na wszelki wypa-dek do kieszeni kozik do przecięcia węzła gor-dyjskiego i chusteczkę dla rozwiania przed sobą gęstych dymów zagadkowej Pytli!... Pamiętają pan też, aby chustka przynajmniej dzisiaj była czysta, bo może ci także wypadnie na mię-scu uczuć, symbolicznie, przy obtarciu nosa, białe barwy pokojowe!... Kto tam wie coś w po-lytyce!...

A no, i — poszli na premię posłowie, któ-rzy zdecydowali się nawet opuścić t. zw. mniej ważną sesję sejmową, recenzenci o różnobarwnej

kracie na odzieniu duszy, strażacy — a jakże — i policja pełniąca zwykłą służbę i lekarz teatralny, a z nimi razem ta mikroskopijna garstka publicz-ności, która i tak nie poszłaby niestety nigdy do kina na „Złodzieja z Bagdadu”. Powrócili prawie wszyscy do domu zmartwieni i zawiedzeni, że nie ujrzeli żadnego skandalu, a w nocy, pewno nawet nie przysniła się im sztuka, mimo, że była jednym z ciekawszych zjawisk repertuaru osta-tnich lat. Pewno zajęłaby ona tych wielu, którzy z przyzwyczajenia nie chodzą do teatru, ale to nie daloby się sprawdzić, a to z tego prostego powodu, że na niej — jak można zdaje się wno-sić z puściusieńkiej widowni — nie byli.

Kilku kolegom z uniwersytetu, trudniącym się duchowo monarchizmem, sam z przykrością wi-działem, jako po wyjściu z teatru wydłużyły się nosy przez całą długość ul. Szpitalnej. Królowa-niem bowiem p. Jednostki w sztuce, przypomi-nało, bez jego zresztą winy, stare, piąte koło u wozu. Jedyne tylko przez wzgląd na miłą, zgrabną panią królową, Hałacińską, można było jeszcze jakoś tolerować plątającego się pod no-gami, filozofującego manekina, jej małżonka. Był to cały jedyny urok i pożytek z pary królewskiej zamiast modnej, na stracie podbiegunowej i gdzie-niegdzie jeszcze na cierpliwiej kuli ziemskiej, za-grzewki do śpiewającego rojalizmu.

Sztuka padła w Krakowie, jak tyle innych mimo poczyt pantofołowej, plotek i wywiadów i dyskusji w „Les Nouvelles litteraires” i w „Temps” i mimo tego, że „o dyktatora” Denisa miał się przyznać sam Briand, a ktoś inny znów zobaczył w nim wyraźnie Mussoliniego i t. d.

W rzeczywistości rzecz napisana już była w 1910 r. Leżała długo w teczce »Komedji Francuskiej« zanim wahania dyr. E. Fabrego i »Ko-mitetu Lekturey« rozwiązał minister oświaty Da-ladler »biorąc pełną odpowiedzialność za poli-tyczne sztuki spektaklu«. W Krakowie premiera nie wzbudziła bynajmniej francuskiego fermentu aktualności ani pod względem politycznym, ani literackim, choć dzieło to bezwarunkowo stoi na wyznach niezwykłego talentu. Kraków śpi, jak król Cwiocek, dajcie mu »Kopciuszka«...

4 akty »Dyktatora« są typowym zselestem dobrych dialogów i działaniem akcji zamkniętej wewnątrz. Napiecie rośnie. Wznaga się. Oczekuje się wciąż krzyku, dowodu. Naumyslnie pa-nuje jednak cisza bez gestów i teatralności. Kiedy po ostatnim akcie zapadła kurtyna publiczność nie podniosła się z miejsc. Dopiero wtedy oczekiwano zewnętrznego działania, Denis oparty o stół przedyjający zamknął sztukę słowami: »Je-stem teraz sam!...«

Sztuka nie wygrała się i nie wygadała. Dalszy ciąg można było zabrać ze sobą. Jest w tem duża wartość. Pobudziła do myślenia. Łatwo i wygodnie nazwać ją także — głupią. Ale na tych tępych ludzi, którzy ją tak chcieli określić, Jules Romans nie pogniwa.

Reżyserował dyr. Nowakowski, jak zwykłe, t. z. sumiennie. Kreacja jego Denisa pozostanie długo w pamięci. Bładym, brodatym i gwałto-wnym rewolucjonistą Férol'em, nie był zdaje się nidy w życiu p. Kułakowski dlatego nie można brać za złe, że lepszą dła maskę od gry. Prócz sympatycznej i dobranej pary królewskiej (pp. Hałacińska — Jednowski) trzeba zanotować doskonałą postać p. Sosnowskiego w roli hr. Mur-rey.

O »Akropolisie« w następnym numerze.

J. Pański.

Z teatrów warszawskich

Krytyka warszawska zgodnie uznala insceniza-cję »Edypa« w Teatrze Narodowym za jedno z lepszych przedstawień tego teatru; ale dopra-wdy nie wiem, co spowodowało ten powszechny aplauz. W recenzji z »Kłatwy« pisałem o zuży-ciu rekwiizytów reżyserkich »starego« teatru; otóż właśnie Edyp, w którym dano przegląd generalny tych rekwiizytów, jest najwymowniej-szym argumentem na poparcie tego twierdzenia. Pomijam słabe — poza Węgrzyzmem — wyko-nanie aktorskie, jako objaw, przechodzący już u nas w stan chroniczny; można zresztą i dla samego Węgrzyna wystawić Edypa. (Choć i on ma niezdolność manierę robienia pod koniec tra-gedji ze swych bohaterów miękkię, roztrzęsionę galarety; jego Edyp nie miał w sobie nic ze złamanej wielkości, — był mizernym, placziwym człowiekiem: tragedja, która winna budzić gro-zę, zmienia się w jakiś dramacik — nieomal mieszczański — ludzi, budzących jedynie litość.

Ale i całość przedstawienia, — koncepcja reżyserka, — mimo swej niewątpliwiej popra-wności, lub właśnie dzięki niej, — była marowa. Jako zasługę reż. Zelwerowicza podnoszono, iż szedł po linię »zgodnej z intencjami Sofoklesa«, ale zapomniał o tem, iż Sofokles nie wyrażał żadnych intencji w stosunku do obrotowej sceny i potrzeb dzisiejszego teatru dramatycznego. Dwu-

nastu młodych ludzi, z przylepionemi jasnymi wło-sami i brodami, reprezentujących chór Sofokle-sowski, przypominało tekturowe figurki S-go Mi-kołaja, które się kupuje na choinkę w mydlarni. Być może; iż chór ten wyglądał tak kiedyś; i cóż z tego? Można dziś w szekspirowskich komedjach obnosić słołce na kiju, jak to czyni-ono w teatrze Szekspira; ale ktoś by to robił np. w Hamlecie? Prymitywizacja motywów ana-chronicznych ma o tyle tylko rację bytu, o ile dostraja się do nastroju samej sceny; a rumiane buzie »starców« nie mogą budzić uczucia grozy, chociaż kiedyś, w epoce narodzin teatru, budzić je mogły.

Tak samo chór plebsu, umieszczony przed pierwszym planem, jest w tem ujęciu martwy i niepotrzebny; i tu zbytnia prymitywizacja, wyrażająca się w wykonywanych »na tempa« odruchach i, co gorsza, okrzykach, — pogrze-bała efekt, zgubiła nastroj. Okrzyki przerażenia, wydawane przez ten chór, działają na widza tak, jakby działały krzyki na widowni: zamiast potę-gować wrażenie, — właśnie urywają ciągłość nastroju.

Po odświętnych inauguracjach przyszła kolej na »chleb codzienny« teatru. »Najpiękniejsze oczy w świecie« J. Sarmenta, wystawione w Tea-trze Małym, okazały się nieciekawym elaboratem z nieuzasadnionem literackimi pretensjami. Jest to, w gruncie rzeczy, zlepek dość niewybredny najprzeróżniejszych »niezawodnych« efektów.

Możnaby na zasadzie tekstu nieomal udowo-dnić, że sztukę tę pisał aktor: tak tu wszystko scenicznie jest pomyślane, — i tak nie prócz szablonu nie pozostało. Zdziwaczały filatelista grający na flecie, wykołejony poeta demon-strujący latarnię magiczną, piękne oczy, które nie widzą, — wszystko to są »tematy« niezawodnie wdzięczne. Szkoda tylko, że pozostały... niena-pisane. Chodzą po scenie projekty, szablony, szkice i zadatki na ludzi, — ale niema ludzi ży-jących; ukazują się pomysły ciekawych scen, szenaty nastrojów, możliwości sytuacji, — ale wszystko to trzeba dopiero napisać i wypełnić życiem.

Nie uczynił tego aktor, który tę sztukę napi-sał, — nie potrafili więc i ci, którzy ją grali.

(z).

Pasia

Jakaś dziwna ospałość roztoczyła się nad dzi-siejszymi ludźmi. Największy brak, jaki daje się odczuwać dzisiaj, to brak — entuzjazmu. Entu-zjazmu in plus i entuzjazmu in minus. Czło-wiek żyjąc, człowiek tworząc, człowiek kochając i nienawidząc musi się entuzjazmować, musi uwielbiać lub potępiać. W przeciwnym razie jest manekinem, lalką, która porusza się na fali przypadków i odgrywa marną rolę w komedycie sytuacyjnej, jaką jest wtedy życie.

Entuzjazm! Kochać — ale ogromnie, szaleń-czo, z ogromną swobodą i ogromną odwagą. Nienawidzić — ale bez kompromisów, równie odważnie i równie wyraźnie! Niech człowiek żyje pasją dzisiejszości!

Z krakowskiej sali koncertowej

J. Śliwiński. — Umberto Urbano. — G. Wiesenthal. — Kwartet Triesteński. — K. Szymanowski.

Wychodząc z wieczoru naszego świetnego pianisty, J. Śliwińskiego, rozmyślałem nad tem, czy przypadkiem nie zaszła u niego zmiana w upodobaniach? Nie muszę wspominać chyba, że twórczość Chopina znajdowała stale u Śliwińskiego doskonałego wykonawcę; jeżeli program obejmował prócz arcydzieł chopinowskich utwory innych kompozytorów, to sprawiał one znacznie mniejsze wrażenie. Na ostatnim wieczorze pierwszą połowę programu wypełniły utwory Schumanna i Liszta, oraz parafrazy Liszta dzieł Schuberta i Wagnera, które tak co do stylu, jak i co do techniki (zwłaszcza »Waldeauschen« i »Św. Franciszek«) wypadły wprost imponująco. Zdawałoby się, że w drugiej części programu, zawierającej wyłącznie utwory Chopina artysty Śliwińskiego jeszcze spotężniej, skoro znajdzie swój najwłaściwszy wyraz. Spotkało nas jednak do pewnego stopnia rozczarowanie. Prawda, że scherzo H-moll i ballada F-moll przypomniały nam najwyższe wzloty jego talentu. Już nieco mniej przemówiło nam do przekonania oddanie Allegro de Concert i Impromptu Ges-dur. Sonata B-moll zaś wypadła jak na Śliwińskiego wcale słabo. Podkreślam: jak na Śliwińskiego. Słysząc tak wykonanego Chopina przez Borowskiego, Godowskiego lub Petri'ego, nie miałoby się im nic do zarzucenia, przeciwnie, nie szczędziłoby się im słów uznania. Lecz noblesse oblige. Od Śliwińskiego mamy prawo żądać głębszej interpretacji. Upoważnił nas do tego swemi poprzedniami występami, na których odzwierciane Chopina uważaliśmy za rodzaj muzycznego święta.

Umberto Urbano, baryton z medjołańskiej opery La Scala, jest jeżeli nie królem, to conajmniej księciem barytonów. Niewiadomo co bardziej należy podziwiać u niezwykle sympatycznego gościa. Czy nadzwyczajny pod względem siły i przeczyste dźwięku głos, czy łatwość w władaniu nim, czy skalę uczuć, rozwiniętą w całej pełni w szeregu pieśni i arii operowych. Tchnąca gorącym pożądaniem serenada z »Don Juana«, dysząca pragnieniem zemsty aria z »Balu maskowego«, szelmowska cavatina z »Cyrulika Sewilskiego«, wreszcie żartobliwie żalonna piosenka: »Ay, ay, ay,« wszystko to znalazło w artyście pierwszorzędny wykonawcę.

Występy G. Wiesenthal przy współudziale P. Hörlriegl i M. Halder nie wywołały głębszego oddźwięku. Złożyła się na to nienaturalność i napszoność w ujmowaniu poszczególnych utworów tanecznych, oraz pewna jednostajność w ruchach. Nie zaznaczono zbytnio różnicy pomiędzy Dvorkiem a Rubinsteinem, również trudno byłoby rozróżnić Chopina od Jana Straussa. Ten ostatni zajmował, niewiadomo z jakich przyczyn jedną trzecią część programu. Miła, niepretensjonalna i wcale nie głęboka muzyka Straussa, można było — skoro już miała być konieczna — okroić do połowy, a uplastyczyć o wiele przystępniej. Wśród nużącej całości programu wyróżniały się jednak dwa punkty. Pierwszy, to »Upadek aniołów« do muzyki J. S. Bacha, mający głębszy podkład myślowy. Drugi to »Kokieteria« Mozarta, w której P. Hörlriegl ukazała nam taniec swych maleńkich rączek. Tłumaczyły one tak doskonale w takt delikatnej muzyki Mozartowskiej usposobienie, w jakim się znajduje ich właścicielka, że i bez pomocy afisza możnaby się domyślić tytułu owej miłutkiej scenki.

Wszystkie superlatywy, z jakimi odnosi się krytyka do zespołu kwartetu Triesteńskiego, zdają się jeszcze mało mówiące i niepokreślające wszystkich walorów gry fenomenalnych artystów. Jeżeli spotyka się tego rodzaju stygłosy i niesłychanie głębokie, udowodnione odczucie, jeżeli dźwięki dwóch skrzypiec, wioli i wiolonczeli, dają brzmienie jakoby pełnej orkiestry symfonicznej, jeżeli niektóre tony wydają się w istocie tak oderwanymi od rzeczywistości, że przywodzą na myśl coś niezmiernego, wówczas zamiast wdawać się w szczegółową ocenę gry, z zapartym oddechem ściga się każdy pojedynczy dźwięk. Idealne zadanie muzyki, przeniesienie w dziedzinę niepodzielnego piękna, spełnia jak najdokładniej gra kwartetu Triesteńskiego. Nazwiska Jankovich'a, Dudovich'a, Vieszoliego i Baraldiego zapisały się na długo w pamięci tych, którzy mieli szczęście słyszeć cudowny kwartet. W pierwszym programie, na którym publiczność swoją ilością dała świadectwo, jaką wagę przykłada do prawdziwego piękna w muzyce, usłyszeliśmy kwartet Haydna, Beethovena i poraz pierwszy w Krakowie Borodina. W drugim i niestety ostatnim wieczorze, rozkoszowaliśmy się kwartetami Mozarta, Brahmsa i Schuberta.

Wiesław Gorecki.

Wieczór kompozytorski Karola Szymanowskiego przy współudziale Stanisława Korwin-Szymanowskiej, zgromadził dużą, jak na obecne stosunki krakowskie, ilość publiczności. Szymanowski, nieustrudzony pionier modernizmu w muzyce, doprowadził pod względem techniki kompozycyjnej do takiego mistrzostwa, jakim nie może poszczycić się dużo kompozytorów współczesnych. O niesłychanej kulturze, umiejętności i inwencji świadczą jego rzeczy fortepianowe (Sonata D-moll op. 21, Sonata na skrzypce i fortepian A-dur op. 9, Symfonia B-dur i t. d.), ale właściwie polem Szymanowskiego są pieśni, które przybierają śliczną formę poematów muzycznych. Główną w nich rolę powierza Szymanowski, jak każdy modernista — fortepianowi, akompaniament niejako stanowi głos ludzki. Melodie pieśni Szymanowskiego, dostrojone cudownie do tekstów (zawsze pierwszorzędnych) nie kuszą się o łaski żądnego trywialności współczesnych, lecz stanowią w swej subtelności i wycuciu nawiąskę muzycznym prawdziwe perły literatury muzycznej. Odnosi się to szczególnie do »Rymów dziecięcych« (słowa I. K. Iłkowiecówny), dostrajających się doskonale do psychiki najmłodszych. Stanisława Korwin-Szymanowska była idealną interpretatorką, o której muzykalności, głębi ujęcia, subtelności i wdzięku należałoby się rozpisać w samych superlatywach. Zastępca.

Orkanowa „Warta“

Władysław Orkan: »Warta«. Studja, listy, szkice. Wydawnictwo Zakładu Nar. Im. Ossolińskich.

Podhale już dziś możemy nazwać kolebką regionalizmu. Ruch ten zapoczątkowany tam jeszcze przed wojną, dziś, doświadczeniem lat wypróbowany, ma już wyraźny kierunek. Związek Podhalań (pierwsza w Polsce organizacja o typie czysto regionalnym) i jego doroczne Zjazdy, są tego dobrym przykładem. Duszą owych poczyzna i głównym przewodnicą jest władny zaście duch tej skalnej ziemi, Władysław Orkan.

Któż go nie zna, Orkana z Poręby, autora w sercu wypieszczonej, perłami liryzmu olśniewającej, cudownej pieśni »Drzewieci«, czy chłupaczej falą chłopskiego życia powieści »W Roztokach«. Mało jest podobnych mu ludzi, którzyby stosunek swój do ziemi rodnej tak serdecznie, i z tak głębokim umiłowaniem pojowali. Orkan — zda się — wrósł w te pustacie górskie każdym prawie nerwem i trzyma się, jak smrek korzeniami w uboczu. Im więcej czas się dłuży, tem więzba ta bardziej mocniej. W przekonaniu tem utwierdza nas i ostatnia »Warta«, choć na całość jej składają się rzeczy dorywcze, na łamach różnych gazet umieszczane.

Wojna sprawiła na wsi wiele przeobrażeń tak pod względem ekonomicznym, jak i w kierunku pojęć. Powojenną, psychologiczną stronę wsi, a zwłaszcza Podhala, łatwo w zauważeniach Orkana znajdziemy. On bowiem poznał najsłabiej, a zwłaszcza podhalańską, strun duszy chłopskiej, jej podatność i ujemne strony. Z Poręby swojej, gdzie do dziś gązduje, obserwuje uważnie budujący się zrab nowej Polski, która winna być — podług idei Kostki, dumań Rakocznego — rzeczą dla wszystkich jednaką. Trwałost gmaczu zależy od siłności podstaw; stąd więc daje wskazania, jak zakładać węzły o silne niewzruszalność, istic granitowej. Sam do budowy staje, zaczynając od węzła podhalańskiego, który może służyć za wzór zakładania innych.

I oto, jako rezultat tej pracy, ukazują się głębokie »Listy ze wsi«, których wartość wszyscy dobrze pojmujemy. Wyszlił tom pierwszy, drugi lada dzień ma się pono zjawić. W międzyczasie, jakby dla zlagodzenia napiętej ciekawości, dostaliśmy »Wartę«. Składają się na nią zauważenia z różnych dziedzin; z każdej jednak kartki przebiega jedna, Orkanowi właściwa, nuta: umiłowanie serdeczne swej ziemi, którą radby uczynić ołtarzem, bogów siedziabą, w świątynnym gmachu Rzeczypospolitej. Czy opowiada nam o pielgrzymce do Rzymu, czy o błękie polskiego morza, wszystko to oparte jest na wspomnianej nucie. W najdalszych nawet zakątkach serce jego zawsze ku Tatrom zwrócone, ku tej słonecznej »helleńskiej krainie«. Znachodzimy tam krótki historyczny rys »Werbunku na Podhalu«, trafne ujęcie przed i powojennych »Sobótek« na Galicowej Grapie, jesteśmy chwilę w Ludźmierzu — rodnej wsi Tetmajerów; serdeczne wspomnienie o Witkiewiczu przywodzi nam przed oczy jego cudowną postać, dalej zjawia się Daniel-Gasienica, przewodnik tatrzańskich, w momencie tragicznej śmierci w urwach skalnych (hłopu na posłoci umierać, to niehonorno rzec — mawiał Sabala). Wreszcie tak świetnie przedstawia »wartę«, która na Podhalu miała i długo jeszcze mieć będzie się i moc w sobie tajemną. »Warta«, czyli róg wołowy, posyłany po wsi, oznaczał wartowanie nocne. Róg ten, jak żądna inna rzecz, odrywa gązde od najpilniejszych robót, bo »warta nie śpasy«. Zwyczaj ten usuił się tak dalece, iż nieprędko wśród ludu Podhalańskiego zaginie.

Orkanowa jednak nuta nie jest jednostronna, nie jest on bezkrytycznym wielbicielem Podhala. Umie i potrafi śmiało skarcić — jak ongiś Witkiewicz — złe strony ich postępowania. Dowodem tego są choćby te dorywcze obrazki zakopiańskie, w książce powyższej zawarte.

Język tu, jak zawsze u Orkana, rdzenna polszczyzna nasiąkły, zdobny perłami chłopskiej lapidarniej gwary.

Antoni Zachemski.

Przypominam!

W 1922 roku, nakł. »Vita nuova« w Warszawie wyszedł tom nowel Stanisława Czosnowskiego pod tytułem: »Idące śmieć«. Tom ten przeszedł za cicho, jak na wartość wewnętrzną i wartość opracowania. Treść przypomnieć go. Takie przypominanie dobrych książek należy do najmiłszych obowiązków krytyki. Obowiązek ten — jak wszystkie obowiązki zresztą — przechodzi czasem w bolesną, chorobliwą i zakaźną manję przypominania niewydanych, zapomnianych, nieznanych wierszy n. p. Lenartowicza lub Konopnickiej. Od takiej manji narazie jestem wolny. Proszę więc nie posadzać mnie, że w rubryce »Przypominam!«, którą niekiedy będę zapieinał, zaczawszy Czosnowskim, wystrzelił potem Wincentym Polem lub Syrokomlą.

Temat — punkt wyjścia — łączący zbiór nowel, zazwyczaj podyktowany jest względami utilitarnymi lub przypadkowocią. W tomie Czosnowskiego temat śmierci czy może raczej przedśmiercia jest rozmyślnie nieutilitarny i przemyślnie nie przypadkowy. Widać pracę poprzedzającą tworzenie czyli to tworzenie faktyczne, podskórne w świadomości autora, tworzenie na wewnątrz czyli ujmowanie tematu w krystalizacji dla siebie. Przelanie na papier głęboko przemyslanego tematu, połączone tylko z trudnościami formy, jest zawsze przekonujące i zawsze silne, o ile autor umie myśleć. Przedśmiercie, moment najzawilszy w psychice kończącej się vegetacji jednostki na ziemi, przemysł Czosnowski i ujął niezwykle głęboko, a potem dał formę nowel nowoczesną i śmiałą.

Odnosiłki do ważnych zagadnień życia społecznego, pacyfizmu, kary śmierci i t. p., wzmagają wartość tej książki. Żywiłowe zagadnienie nierozwiniętych pętów zmysłowości nawet u łoża śmierci drogiej osoby, wysunięte indywidualnie przez Czosnowskiego, jest niezwykle interesujące. Charaktery bohaterów nowel z »Idące śmierci« nie posiadają na sobie cech literatury. Wogóle książka ta żyje silnie i impulsywnie, dlatego żywym ją przypominam.

Kronika

— **Uroczysta Akademia ku czci prez. Wilsona**, urządzona staraniem Akad. Zw. Pacyfistów odbyła się w podniosłych ramach dnia 21 ub. m. na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Słowo wstępne wypowiedział prof. U. J. dr St. Estreicher. Następnie Witold Zechenter wygłosił swój wiersz p. t.: »Wilson«, kończący się jakby charakterystyką przyszłości, kiedy to »ponad krzyż zoraną mogiłą, ponad szarość pochowanych prochów błysnie jedno tylko słowo: miłość! wzleci jedno tylko hasło: pokój!«

W dalszym ciągu Akademii przemawiał p. Wojciech Natanson i prezes Akad. Zw. Pacyfistów p. Pietsch, Janusz Stępowski odczytał swą nowelę »Jasnowidzacy wynalazek«, a Marjan Sewi impresję pacyfistyczną »Nowy sztandar«. (r.)

— **Konkurs na nowelę**. Redakcja »Czasu« otrzymała na ten cel od Zarządu Czyneln naukowej i beletrystycznej w Krakowie 300 zł, rozpiła konkurs literacki na nowelę do świątecznego numeru. Rozmiary utworu nie mogą przekraczać 500 wierszy druku. Prace należy adresować: Redakcja »Czasu« Kraków, ul. św. Tomasa 32. Konkurs literacki »Czasu«. Utwory mają być zaopatrzone w godło, które winno być również napisane na żalepionej kopercie, zawierającej imię, nazwisko i adres autora. Termin nadsyłania prac upływa dnia 12 grudnia 1926 r. Wynik konkursu ogłoszony zostanie w numerze świątecznym »Czasu«. Nagroda wynosi 300 zł. Sąd konkursowy stanowią: Dr Leon Chwistek, prof. Roman Dybowski, Franciszek Potocki i dr Antoni Beaupré, naczelny redaktor »Czasu«.

— **Janusz Stępowski** przygotował obecnie do druku tom nowel z ostatniej wojny.

— **Jean Marze** zadebiutował szczęśliwie książką »L'apprenti gigoł«.

— **Edward Ewbank** napisał sztukę »La guerre de poisson« zblizoną ideową do »Grobu Nieznanego Żołnierza« Raynala.

— **O Prouście** ukazała się interesująca książka w »Les contemporaines«. Zawiera biografję, bibliografję, dokumenty odnoszące się do Prousta, listy jego, m. i. niewydate dotychczas, ogromnie wartościowe listy do Roberta de Montesquion, oraz faksymile.

— **Akademia ku czci Wiktora Hugo** odbyła się niedawno w Paryżu w »Société nationale des conférences populaires« na rozpoczęcie nowego sezonu w auli Sorbony. Słowo wstępne wypowiedział Herriot, wykład o Wiktore Hugo wygłosił Ferdinand Gregh, recytowali artyści »La Comédie Française«; wkońcu wyświetlono fra-

gumenty z filmu »Les misérables« (znanego już w Polsce).

— **André Gide'a** »Le journal des Faux — Monnayeurs« (Ed. Eos) jest ciekawym zbiorem notat autora, robionych podczas pisania powieści, których celem jest introspektywne zaobserwowanie i zanotowanie przebiegu procesu twórczego.

— **Piotra Varillon** »La fausse route« (Fałszywa droga) wyd. Plon, przepojona jest religioznością, która coraz silniej przebiega się w twórczości młodej Francji.

— **Francis Jammes'a** utwory essayistyczne p. t.: »Trentesix femmes« (36 kobiet) wyszły nakładem »Mercure de France«.

— **Romain Rolland** »Pâques fleuries« wyszły nakładem A. Michela w Paryżu.

Kronika muzyczna

— **Artur Rubinstein** wystąpi z koncertem we Wiedniu, w pierwszej połowie grudnia. Program wieczoru obejmie utwory Bacha, Brahmsa, Chopina, Strawińskiego i Albeniza.

— **Jovita Fuentes**, słynna śpiewaczka japońska występowała we Wiedniu, w Ludowej Operze, w partii »Madame Butterfly«.

— **Teiko Kiwa** również japońska śpiewaczka, występowała również w partii »Madame Butterfly« we Wiedniu i w Warszawie, ostatnio we Lwowie. Jest to obok Jovity Fuentes i Isang Tapales, trzecia znakomita interpretatorka Cho-Cho-San.

— **„Gniazdo jaskółcze“**, operetka Granichstaedtena wystawiona będzie w Anglii i w Ameryce.

— **Golem**, najnowsza opera E. d'Alberta, wystawiona poraz pierwszy w Frankfurcie nad Menem, nie osiągnie prawdopodobnie ani w części sukcesu, jakimi cieszą się »Niziny« i »Zamarle oczy« tego kompozytora.

— **Interesujący** artykuł o »Mnemonicie muzycznej«, pióra znanego muzykologa Dra Sew. Barbaga zamieszczają »Lwowskie wiadomości muzyczne i literackie« w Nr-ze 12-stym.

— **Fr. Zachara** koncertował w sali Instytutu Muzycznego w Krakowie z inicjatyw L. Grodzkiej. Błado wypadł Beethoven, b. interesująco Schumann (Karnawał), znośnie preludja i etudy Chopina. »Kolyanka« Chopina nie była należycie pogłębiona, a o sporodowaniu Poloneza As-dur wolę nie wspominać. Brawurowe odegranie utworów lisztowskich, naprawiło w części niemiłe wrażenie, odniesione po nieszczyśnym polonezie As-dur.

W. G.

Z literatury rosyjskiej

Zapomnieć o niej nie wolno

Ilja Erenburg: »Oblicze wojny«. Tłóm. I. Maliniaka. Dom Książki polskiej. Warszawa. 1926.

»Gdy tylko zapomnimy, powstanie ona znowu z martwych i znów będą bić w bębny po zapadłych wioskach, znów księża kropić będą armaty święconą wodą, znów umierać będą Pierry, Fritz'y, Iwany«.

Tak mówi Erenburg w przedmowie do »Oblicza wojny« i przestroga ta brzmi długo w uszach po przeczytaniu tej całej niezwykle książki.

Autor, który twierdzi, że »zagadkowe oblicze wojny zakrywa nieprzenikniona zasłona« sumienie i troskliwość bada, wypatruje, podслушуje, żeby choć częściowo tę wojnę zrozumieć.

Miliony ludzi z wielkim wrzaskiem, wykrykując pierwsze lepsze poddane sobie hasła, były tylko strach śmierci w sobie zagłuszyć, rzuciły się do mordu. W tym zgiełku i ścisku, Erenburg szuka tylko ludzi, podpatruje tylko ich dusze. Dobroliwie, ze sercem i współczuciem podchodzi do kulturalnego europejczyka i do kolorowego żołnierza kolonialnego. Wszędzie tkwi ta sama sterna dusza, której piekło na ziemi zgotowano.

»Na wojnie niema Jean'a, Karl'a, Niemców, Francuzów, lecz jesteśmy my wszyscy, tylko ludzkość i człowiek«. Stałość przekonania, bohaterstwo, wielkie czyny — to udział niewielu jednostek. A na wojnie są miliony. Ich udziałem jest przymus«.

Cała dzikość wojny, jej bezsensowność występuje w tej książce jaskrawo, a fałsz i obłuda naszej kultury są zdumiewająco trafnie uchwyczone.

»Nie wolno dzielić zła na kategorie: zło wzniosłe, zwykle i nikczemne«, »nie wolno na konferencjach w Hadze rozstrząsać, jak i sposób można zabijać, a w jaki sposób wara«.

I Malajczyk, który mówi: »dobry kapral powiada, trzeba jaknajwięcej zabijać; dobra pani powiada, nie należy zabijać... ja powiadam: należy trochę zabijać«, zgłębił całą etykę i kulturę Europy.

Jak w kalejdoskopie przesuwają się obrazy z wojny i z tyłów i coraz niepojętniejsza, bardziej zagadkowa staje się wojna. Sto lat temu była ona rzemiosłem. Paczka rycerzy zawodowców i awanturników ze swoimi ciurami i sługami biła się z taką paczką. Okrucieństwo było zrozumiałe — wyrobił je zawał. Lecz z chwilą, gdy na plac boju wyległy całe narody, gdy wszystko, co broń w garści utrzymać mogło, zapędzono na pola bitew — wojna właściwie przestała istnieć.

To już nie wojna i ten termin stał się anachronizmem. To wajuje tępienie się ludzi, wylew pierwotnych zwierzęcych instynktów, szal, opętanie.

Cóż dziwnego, że Erenburg, goniony za duszą ludzką zaledwie ja u tych dzikusów dostrzeżę? Więcej takich książek i takiego zrozumienia rzeczywistości, a może ludzkość otrząśnie z siebie krwawy koszmars.

A. Ambroziewicz.

Odpowiedzi Redakcji

Autorowi „Pragnienia“. Nie skorzystamy. Jeszcze nie do druku.

P. Irene Dewicz. Nie skorzystamy. Bardzo słabe. Na zwrot rękopisów prosimy nadesłać znaczek pocztowy.

Urzednikowi skarbowemu w Warszawie. Wydrukujemy w najbliższej przyszłości. Nieprzeciwny talent.

Zenon Bid — Lwów. Nie skorzystamy. Mało wyrobienia. Forma jeszcze słaba.

Czasopisma nadesłane

»Mestwin«, Nr z dnia 16 listopada zawiera artykuły T. Pietrykowskiego, J. Karnowskiego, A. Muenicha, A. Mankowskiego, wiersz Witolda Zechentera »Tęsknota za morzem« i d. c. poematu L. Heykego »Wojewoda«.

»Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie« w Nrze za listopad przynoszą artykuły dra Barbaga, dra Żygułskiego, dr Drexlerowej, wiersz W. Zechentera »Kasprowiczywi«, kronikę muzyczną recenzję dr Wieniewskiej, etc.

KINO „WANDA“

Monumentalne arcydzieło wytwórni „Paramount“ koncernu „Fanamet“

Syn marnotrawny

Reżyserja Raula Walsh, reżysera Złodzieja z Bagdadu. — W rolach głównych: Greta Nissen zwaną Lyą de Putti Ameryki, William Collier, Ernest Torrence, Wallace Beery.

Orgje starożytnych pogon! Zburzenie Babilonu!

Ostatnia nowość

Zofii Kossak-Szczuckiej:

WIELCY I MALI

ukazała się nakładem

Krakowskiej Spółki Wydawniczej w Krakowie, św. Filipa 25.

Cena zł 7—, z przesyłką poleconą zł 7.70, za zaliczeniem pocztowym zł 8—.

Nabywać można wprost u nakładcy, w Księgarni Jagiellońskiej w Krakowie, ulica Wileńska II. 3 i we wszystkich innych księgarniach.

Adam Mickiewicz a pacyfizm

Przeciwnicy pacyfizmu w Polsce często twierdzą, że idea ta sprzeczna jest z tradycją myśli polskiej. Posługują się przytem nazwiskiem Mickiewicza, cytując jego dosłowne zdanie: »O wojnę powszechną za Wolność Ludów błagamy Cię, Panie!«

Trzeba w tem widzieć bądź złą wolę, bądź zupełny brak zrozumienia ideałów Mickiewiczowskich. Jeśli będziemy pamiętać o ówczesnym położeniu politycznym, o rewolucjonizmie Mickiewicza i o jego wierze w wolność ludów, jasnym się nam stanie, że poeta miał na myśli wojnę ludów przeciw rządowi absolutnmu, a nie wojnę ludów między sobą. Mickiewicz wierzył, że zmartwychwstanie Polski jest nierozdzielne od wyzwolenia narodów europejskich z pod jarzma absolutyzmu. Potępiał zawsze szowinizm, a jeśli chodzi o jego stosunek do idei pacyfistycznej, wskazać należy na artykuł w »Pielgrzymie polskim« z 12 kwietnia 1833 p. t. »O dążeniu ludów w Europie«. Pisz tam poeta: »Jakież teraz jest najpierwsze, najgłośniejsze, najwyższe życzenie ludów? Nie wahamy się powiedzieć, że jest to życzenie porozumienia się, połączenia, zmasowania interesów...« »Już za rewolucji francuskiej odżyła w sercach pamięć braterstwa narodów, rozerwanego przez rzady. W wojnach Napoleona ciemne przecucie jedności europejskiej, coraz wyraźniej tłómaczyło się łączeniem się partij popularynych z Francuzami«. W innym miejscu Mickiewicz ostro występuje przeciw granicom administracyjnym i celnym. »W istocie może być co haniebniejszego nad ów stary przesąd, że linja pociągiona palcem królów wśrodk kraju jednego, często wśród jednego miasta, ma rozdzielać mieszkańców na krajowców i cudzoziemców!«

Także i w »Trybunie ludów« opowiada się Mickiewicz za solidarnością narodów europejskich, a przeciw egoizmowi narodowemu.

Widzimy, co zrobiono z poglądami Mickiewicza, jak bardzo fałszywie je tłómaczono. Zupełnie jak w »Wyzwoleniu« Wyspiańskiego: posag Mickiewicza ulepiony z gliny fałszywych o nim wyobrażeń.

Nie, pacyfizm nie jest sprzeczny z prawdziwą tradycją myśli polskiej. Udowadniał to zresztą p. Feliks Bocheński w doskonałym artykule, drukowanym przed paru miesiącami na łamach »Czasu«. Szedł on nawet tak daleko, że uznał pacyfizm za ideę przewodnią narodu polskiego.

Wojciech Natanson.

Od Administracji

Zawiadamiamy naszych prenumeratorów, którzy dotychczas nie uregulowali przedpłaty, że numer niniejszy jest ostatnim, jaki im wysyłamy.

Stefan Żeromski

Bibliografja utworów wydanych oddzielnie za życia pisarza.

Zupełnienia.

W poprzednim (20) numerze »Gazety Literackiej« ogłosiliśmy bibliografję prac Stefana Żeromskiego opracowaną przez Kazimierza Czachowskiego. Obecnie zamieszczamy kilkanaście uzupełnień. Wszyscy wiedzący o innych utworach Żeromskiego, nie objętych niniejszą bibliografją, zechcą przysłać nam informacje bibliograficzne.

Pisma ogłoszone przez Żeromskiego i nieobjęte wydawnictwami książkowymi:

24. Spiz i Orawa. »Kwartalnik Towarzystwa Tatrzańskiego«. Zakopane 1919.
25. O Janie Machajskim. »Nowa Reforma«. Kraków 1909.
26. Myśli o Gruzji. Jednodn. »Gruzja«. Warszawa 1919.
27. O Słowacji, list do Fr. Hrušowskiego, tłumacza »Przebieżki«.
28. O pomoc głodnemu Wilnu. »Naprzód«. Kraków 1918.
29. O pomoc żołnierzowi. »Kurjer Warszawski«. 1924.
30. Przedmowa do »Przecieża żywota« Kajetana Sawczuka.
31. Polemika z Przybyszewskim. »Kurjer Lwowski«. 1924.
32. Przedmowa do książki Ferdynanda Kurasia.
33. Wilja. »Echo Warszawskie«. 1924.
34. Zemsta jest moją. »Na nową szkołę«. Książka zbiorowa.

Sprostowania.

Wydawcą pierwszego nakładu »Ludzi bezdomnych« nie był, jak podałem poprzednio, Jan Fiszler, lecz Bronisław Natanson.

Pierwodruk »Puszczy jodłowej« ukazał się w r. 1922, w Almanachu »Biblioteki Polskiej«, nie, jak podaje Kazimierz Czachowski, dopiero w książce po śmierci pisarza.

Marjan Sewi.

OBYWATELE!

Nie żałujcie grosza na cele oświatowe T. S. L.